NUMER 11. ROCZNIK I. LISTOPAD 1897.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dziecią̨tko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.

(Mat. xviii, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.

(Św. Dyonizy).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.

(Św. Franciszek Salezy).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku, dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.

(Papież Pius IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.

(Ojciec Św. Leon XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA.**

Odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy.

Na mocy Brewe Ojca św. Piusa IX, *z dnia* 9go *maja* 1876 *r., każdy* **Pomocnik i Pomocnica** *salezyańska może zyskać wszystkie bez wyjątku odpusty, tak* **zupełne,** *jako i* **cząstkowe,** *których dostępują* **Tercyarze** *zakonu św. Franciszka z Asyżu.*

(*Zob.* Ustawy dla Pomocników salezyańskich, *str.* 18-28).

Prócz tego zyskać mogą **Pomocnicy** *nasi:*

a) *odpust* **zupełny** *raz na dzień, jeżeli odmówią trzecią część Różańca św. przed Najśw. Sakramentem, a w razie niemożności, przed krucyfiksem. — Odpust ten ofiarować mogą za dusze w czyscu cierpiące;*

b) *odpust* **zupełny** *za każdym razem, jak przystąpią do Komunii św.;*

c) *tyle odpustów* **zupełnych** *w ciągu dnia, ile razy na intencyą Ojca św. zmówią* 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś i 6 Chwała Ojcu.

Odpusty te, które można także ofiarować za dusze, w czyscu cierpiące, zyskać można **toties quoties,** *to znaczy: ile tylko razy odmówi się wyż podane modlitwy, na jakiembądź miejscu, nie potrzebując przytem zgoła przystępować do Sakramentów św., wystarczy bowiem być w stanie łaski Bożej;*

d) *odpust* **zupełny** *w każdą niedzielę i w dni poniżej wymienione, jeżeli wyspowiadawszy się w ciągu tygodnia i do Komunii św. przystąpiwszy jaki kościół albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyą Ojca św. się pomodlą.*

Grudzień.

3. Św. Franciszek Xawery, Apostoł Indyi.
8. Niepokalane Poczęcie Najśw. Maryi Panny.
16. Pierwszy dzień nowenny do Bożego Narodzenia.
21. Św. Tomasza, Apostoła.
24. Ostatni dzień nowenny do Bożego Narodzenia.
25. Boże Narodzenie.
27. Św. Jana, Apostoła i Ewangelisty.

MODLITWA
NA KONIEC WIEKU.

Kongregacya św. Odpustów zatwierdziła i odpustem 100 dni, raz na dzień dostąpić się mogącym, uposażyła następującą modlitwę:

Daj nam, najłaskawszy Boże, za przyczyną **Błogosławionej Niepokalanej Dziewicy,** *abyśmy naszej pokuty łzami winy tego kończącego się wieku obmyli, a początki nadchodzącego tak przygotowali, aby cały ten przyszły wiek poświęcony był chwale Twojego Imienia i Królestwa* **Jezusa Chrystusa,** *Syna Twego, któremu niech wszystkie narody służą w jedności wiary i doskonałej miłości. Amen.*

(Odpust ten ofiarować można za dusze zmarłych, w czyscu cierpiące.)

WYCIECZKA
DO
INDYAN
NA
Llanos de San Martin.

Bogotá, 22go lutego 1897.

Przewielebny i Najdroższy Ojcze,

Wróciłem oto ze San Martin, po trzechtygodniowem blisko wydaleniu się ze stolicy. Celem niniejszej, drugiej z rzędu, wycieczki mojej do *Llanos de San Martin*, było rozpoczęcie misyi salezyańskich wśród Indyan tamtejszych okolic.

1. Nagląca potrzeba tychże misyi. — Odjazd misyonarzy. — Tryumfalny wjazd do Villavicencio.

Już od dość dawnego czasu mówiono tutaj głośno, a gorącem zawsze i po wielekroć wobec piszącego te słowa wyrażanem było pragnieniem Najprzew. naszego X. Arcypasterza, ażebyśmy nareszcie misye, o których mowa, rozpoczęli; brak jednakże personalu, któryby dawał rękojmię, że podoła równie szczytnemu, ile trudnemu temuż zadaniu, wstrzymywał nas aż dotąd od spełnienia życzeń Jego Arcybiskupiej Mości.

Dnia 9go grudnia r. 1895, tego samego dnia, w którym w Turynie umierał nasz nigdy niezapomniany X. Michał Unia, skonał również, i to śmiercią tragiczną, w górach około Uribe, O. José de Calasanz (*Józef Kalasanty*) Vela, Dominikanin, o którym już w poprzednim moim liście donosiłem, jedyny zakonnik, który już od przeszło 30tu lat zajmował się gorliwie duszpasterstwem na tych niezmierzonych równinach. Jadąc do wioski Uribe, pewnego wieczora zrzucił go koń w przepaść, gdzie po kilku minutach ducha wyzionął.

Jak tylko powróciłem z departamentu Santander (dokąd, jakto już Przew. Ojciec wie, udałem się był, żeby osobiście wstawiać się za wybudowaniem jednego, wielkiego szpitala narodowego dla trędowatych rzeczypospolitej kolumbijskiej, i gdzie z uniesieniem byłem przyjęty tak od władz rzeczypospolitej, jak i prostego ludu), przy pierwszych odwiedzinach, jakie uważałem sobie za obowiązek złożyć Najprzew. X. Arcybiskupowi, tenże od razu naprowadził rozmowę na misye i nalegał, byśmy bez zwłoki rozpoczęli je na *Llanos de San Martin.*

„*Żyje tam kilka tysięcy katolików bez najmniejszej opieki duchownej,*" mówił; „*istnieje pięć osad z ludnością przeważnie chrześcijańską, ale bez kapłana; oprócz nich koczuje na tych równinach jeszcze kilkanaście tysięcy Indyan, którzy do tej chwili czekają, kiedy i dla nich wybije godzina wybawienia. Widzi więc Ojciec, że dłużej już niepodobna zwlekać. Z największą chęcią posłałbym tam księży świeckich, lecz ich nie mam a nawet nie mam nadziei, czy ich kiedykolwiek będę miał dostateczną ilość. Z drugiej strony X.* Rua, *do którego już w tej sprawie pisałem był, zgodził się chętnie na objęcie tychże misyi i obiecał mi równocześnie, że jak tylko będzie mógł, przyśle mi trzech XX. Salezyanów do pomocy. Jestto więc wola Pana Boga, ponieważ jest zarazem wolą*

Przełożonych, niech zatem Ojciec przyjmie tę misyę, a X. Bosko *pobłogosławi go w nagrodę zato z nieba.*"

Trudno było w tym razie powiedzieć: „*nie można.*" W pierwszej chwili pragnąłem wprawdzie przeciągnąć odpowiedź stanowczą przez niejakiś czas, ażby nadeszły obiecane posiłki z Turynu, lecz nie miałem tyle odwagi, by odkładaniem misyi na czas nieokreślony, który bardzo łatwo mógłby się był przeciągnąć i przez cały rok, zasmucić serce Ojca naszego i Pasterza.

Natychmiast więc ułożyliśmy wspólnie plan wycieczki misyonarskiej, z wielką dla X. Arcybiskupa uciechą, a zatrzymawszy się tylko jeszcze na niektóre święta i obchody, jakie w Zgromadzeniu naszem przypadają pod koniec miesiąca stycznia: na uroczystość św. Franciszka Salezego (29go stycznia) i na Mszę żałobną w rocznicę śmierci X. Bosko, (31go stycznia), zaraz potem wyruszaliśmy do San Martin. Było nas pięciu Salezyanów: trzech księży, jeden kleryk i jeden braciszek.

Wśród głośnych życzeń szczęśliwej podróży i pożegnawszy się z wszystkimi współbraćmi oraz chłopcami naszego zakładu, wyruszyliśmy w imię Boże z Bogotá, rano dnia 3go lutego.

Ponieważ w liście, umieszczonym w nr. listopadowym „*Bollettino salesiano*" roku zeszłego, opisałem był już raz tę podróż, którą z innej przyczyny i w innym celu w tutejsze strony odbyłem, zatem nie będę tych samych szczegółów powtarzał. Powiem tylko, że jakkolwiek drogi przez półtora dnia okrutnie były złe, to jednakowoż po trzech dniach podróży dotarliśmy szczęśliwie do pierwszej osady na *równinach San Martin*, t. j. do miasteczka Villavicencio. Z jakie 60 łuków tryumfalnych, uplecionych z gałęzi oliwnych, palm i innych drzew, świadczyło, że ludność cieszy się z naszego przybycia; faktem jest, iż wszyscy wybiegli na nasze powitanie.

2. Dlaczego do San Martin? — Wybieg, aby nas zatrzymać w Villavicencio.

Mimowoli zrobiliśmy dobrej tej ludności zawód, a nawet sprawiliśmy jej wielką przykrość.

Miejscem, przeznaczonem na pierwszą naszą rezydencyą, nie było Villavicencio, lecz San Martin, osada, leżąca o dwa dni drogi od Villavicencio. Na wybór tej właśnie mieściny nie wpływał bynajmniej kaprys, jakobyśmy jedną przenosić mieli nad drugą, — rozstrzygającym był dla nas jedynie wzgląd na większą korzyść, jaką stąd odniesie sprawa misyi na tych równinach. Jakem to już zaraz na wstępie zauważył, jest na *Llanos de San Martin*, razem wziąwszy, pięć osad, o ludności przeważnie chrześcijańskiej, które Zwierzchność duchowna postanowiła powierzyć opiece duchownej Salezyanów: Villavicencio, San Martin, San Juan de Arama, Uribe, Jiramena. Otoż z nich wszystkich leży San Martin, od którego (jak wiadomo) całe te niezmierne równiny, rozlegające się na setki **leguas** wzdłuż i wszerz, otrzymały nazwę, w samym środku *Llanos*, a przynajmniej wśrodku pomiędzy resztą osad. Za dwa dni można z niego dojechać konno do każdej z wyżej wspomnianych miejscowości, z wyjątkiem chyba Uribe, do którego potrzeba przynajmniej dni czterech i to w czasie pogodnym. Na San Martin więc musiał paść nasz wybór, jako miejscowość, skąd łatwiej, niż z innego jakiego punktu, można było pospieszyć z duchowną pomocą, gdzie tylko jej potrzeba się okazała.

Drugi jeszcze, niemniej ważny, powód skłonił nas, abyśmy się za tą, a nie za inną, oświadczyli osadą, a mianowicie, iż ze San Martin blisko nam będzie do dzikich plemion Indyan, zetknięcie się z którymi głównym było celem naszej teraźniejszej wycieczki misyonarskiej. Mając to wszystko na uwadze, przyzna Przew. Ojciec niezawodnie sam, iż było naszym obowiązkiem, niezważać na żadne przedstawienia, ni prośby, a w danym razie przełamać wszelki opór i usunąć przeszkody, stawiane nam w osiągnięciu naszego celu; tem więcej, że wszystkie nasze postanowienia powzięliśmy w porozumieniu z Najprzew. X. Arcybiskupem, który je zatwierdził i pobłogosławił.

Przybywszy do Villavicencio, musieliśmy przedewszystkiem zmienić bydlęta juczne, by módz w dalszą puścić się podróż; te bowiem, które zabraliśmy ze sobą z Bogotá, nie mogły nam się więcej przydać, zresztą, właściciel ich, nie byłby nam ich odprzedał za żadne pieniądze. Chcąc niechcąc trzeba więc było postarać się o inne, i to wytrwalsze od pierwszych, gdyż podróż, która nas czekała, była bardzo przykra i niebezpieczna. Należało przeprawiać się przez gęste lasy, a zwłaszcza przez jakich dziesięć rzek, z których niektóre były wcale szerokie i głębokie, nawet podczas gorącego lata. Droga zaś jest zawsze błotnistą, gdyż nigdy

do niej nie dotrze żaden promień słoneczny, ani jej muśnie choćby lekki powiew wiatru; stąd, po najmniejszym deszczu, przeprawa staje się nietylko przykrą, lecz wprost niebezpieczną. Wiedząc o tem wszystkiem doskonale z czasu przeszłorocznej mojej wycieczki, nalegałem na władze i różne osoby prywatne, by nam wystarano się o muły silne i pewne w nogach; lecz po dwóch dniach daremnego szukania, przyszedłem do przekonania, że wszystkie nasze trudy i starania były na nic, gdyż jedni i drudzy wzbraniali się stanowczo życzenia nasze wypełnić.

Była to zmowa? była to zła wola? Nie sądzę. Widzi mi się, że było to raczej pragnienie, w taki oto sposób objawione, abyśmy główną naszą siedzibę założyli u nich, w Villavicencio, życzenie, które miejscowe władze wynurzały nam w imieniu całej ludności po razy kilka. Na nieszczęście osada ta, lubo najludniejsza i będąca zarazem siedzibą wszystkich władz świeckich, od siedmiu już lat nie posiada kościoła z powodu pożaru, jakiego się stał pastwą, a zatem także i z tej strony praca nasza w miasteczku tem byłaby prawie daremną. Jakże można z pożytkiem pracować w miasteczku, w którem brak kościoła? Gdzież zgromadzać lud na nabożeństwo i na kazania?

Tu mógłby mi kto stawić pytanie: — *A czy niema w Villavicencio przynajmniej jakiej kaplicy, gdzieby ludność mogła zadosyćuczynić obowiązkom i potrzebom religijnym?* — Odpowiadam: — Jest tam izba, którą zamieniono na kapliczkę, i tak ją też nazywają; lecz nie pomieści więcej nad 30 osób, Villavicencio liczy zaś blisko 3,000 dusz; oprócz tego, jest brudna, niechlujna i żadną miarą nie może służyć za miejsce do sprawowania św. Ofiary. Wprawdzie zaczęto budować kościół parafialny; lecz dla braku środków trzeba było roboty rozpoczęte zawiesić i długo zapewne jeszcze potrwa, zanim budowa będzie wreszcie ukończoną.

W takich okolicznościach cóż mieliśmy począć? Oczywiście nastawać, by nam dano możność przyspieszyć nasz odjazd i osiedlić się czem prędzej w San Martin, puszczając mimo uszu wszelkie nalegania i prośby, ażebyśmy zostali w Villavicencio, tem więcej, że (jak to już raz wyżej nadmieniłem) postanowienie nasze powzięte było z wolą i z wiedzą Najprzew. X. Arcybiskupa, bez którego zezwolenia w żadnym punkcie przeistaczać go nie mogliśmy. Oświadczyliśmy więc krótko i węzłowato, że musimy jechać.

Lecz tu dopiero sęk. W ciągu dwóch dni ustawicznego szukania i wypytywań się, czy to u władz, czy też u osób prywatnych, nie mogliśmy wynaleść ani jednego muła, choć byliśmy gotowi nabyć je za drogie nawet pieniądze. Wtenczas dopiero zrozumieliśmy, że to był poprostu figiel, którego nam chciano wypłatać, i że dalsze nasze czekanie byłoby całkiem daremne. Poczciwy ludek sądził zapewne, że w taki oto sposób zmusi nas do pozostania w Villavicencio. „*Niechcą u nas zostać dobrowolnie, to zostaną gwałtem. Zmusimy ich do tego. Nie damy im mułów, których potrzebują, a tak odejmiemy im możliwość opuszczenia nas, bądź gdyby się chcieli udać do San Martin, bądź też, gdyby powzięli zamiar wracać nazad do Bogotá; czy chcą czy nie chcą, muszą się zatrzymać.*“ Niepodobna było puścić się w drogę pieszo, gdyż bez bydląt jucznych nie można poprostu przeprawiać się przez te góry; zresztą w takim razie musielibyśmy zostawić w Villavicencio wszystkie nasze tłomoki. Cóż więc w takim razie począć?

3. Noc, chwila dobrych pomysłów. — Wszyscy przybywają szczęśliwie do San Martin. — Zbiegają się zewsząd Indyanie, niewiadomo, przez kogo przestrzeżeni o naszem przybyciu.

Niedarmo powiadają, że noc jest chwilą dobrych pomysłów. Doświadczyłem tego po sobie wieczorem z 7go na 8go lutego. Dnia tego wstałem wczas rano, odprawiłem Mszę św. i puściłem się sam jeden do San Martin, by wyszukać mułów. Z wyjątkiem naszych, nie wiedział nikt o mojem wydaleniu się z Villavicencio. Chodziło mi o to bardzo, by zachowano sekret, głównie ze względu na władze miejskie, które żartem lub na seryo, same albo też przez innych, gotowe były wypłatać mi jakiego figla. Ruszyłem więc w step pokryjomu, a w dwa dni potem stanąłem szczęśliwie w San Martin. Było to w sobotę, wieczorem. W kilka godzin znalazłem dziesięć mułów, — tyle, ile mi właśnie było potrzeba, a na drugi dzień wysłałem je do Villavicencio z poleceniem, by mi zaraz sprowadzono Salezyanów, tamże przebywających, wraz ze wszystkimi tłomokami.

I tak nareszcie po upływie pięciu dni przybyli wszyscy szczęśliwie, wśród bicia dzwonów i radosnych okrzyków ludności, do San Martin. Cała osada przybrała świąteczny wygląd: drzwi i okna wszystkich domów były przystrojone, po ulicach wzno-

siły się bramy tryumfalne, większa część ludności i prawie wszystkie dzieci zbiegły się przed dom, który na prędce dla nas przygotowano. Powodem tak uroczystego przyjęcia było to, iż najstarsi nawet ludzie nie pamiętali, żeby w tych okolicach ukazały się były kiedy cztery sutanny naraz; co najwyżej raz, lub dwa razy, na rok mignął tam biały habit O. VELA, Dominikanina, który w przejeździe zatrzymał się tam przez chwilę, lecz czterech księży naraz, i to jeszcze z tym zamiarem, aby na zawsze pozostać w tak odległej osadzie, — to było czemś niesłychanem dla sławetnych mieszczan z San Martin.

Złożywszy wizyty komu należało, a zwłaszcza miejscowym władzom, które ze swej strony bardzo życzliwie witały nowoprzybyłych, zostaliśmy sami, zajęci rozwiązywaniem i otwieraniem tłomoków i skrzyń, oraz porządkowaniem naszych rzeczy. Wtem jakieś wołanie na ulicy i głosy pomięszane zwróciły naszą uwagę.

—„*Los Indios*! *los Indios*!“ — (Indyanie! Indyanie!) wołały i powtarzały setki głosów.

—„*Aqui vienen los selvajos*!“ — (idą tu dzicy!) wołali i powtarzali drudzy.

Otworzyliśmy drzwi chaty, by zdać sobie sprawę z tego, co się działo na dworze, gdy oto ujrzeliśmy gromadę Indyan, otoczoną mnóstwem gapiów z całego miasteczka, kroczącą wprost ku naszemu domostwu. Był to tłum, złożony z mężczyzn, kobiet i dzieci, po większej części nagich, którzy przychodzili nas przywitać.

Staliśmy na progu, mocno zdziwieni, nie umiejąc sobie z razu wytłómaczyć właściwego powodu tych odwiedzin. Pomiędzy przybyłymi poznałem zaraz owych czterech Indyan, których roku zeszłego spotkałem był na pustyni, o trzy dni drogi od San Martin. Pozdrowiłem ich i zapytałem o właściwy cel przybycia. Jeden z nich, który umiał nieco po hiszpańsku, odpowiedział w imieniu wszystkich:

—„*Sabiendo que veniendo Padres á San Martin, queriendo nosotros saludarlos.* — To znaczy: dowiedziawszy się, że do San Martin przybyli Ojcowie, przyszliśmy ich powitać.

Dodał jeszcze tenże Indyanin: „*Hartos mas veniendo ahi.*“ — Wielu innych spieszy w tym samym celu.

Zdziwienie nasze rosło. Na różne sposoby wypytywałem się ich, kto im powiedział o naszem przybyciu, także inni współbracia pytali ich o to, lecz wszyscy razem nic nie wskóraliśmy. Jedyna odpowiedź, jaką nam dawano, była: — *Quien sabe*! — Kto wie! dając nam tem samem do zrozumienia, że nie byli w stanie dać nam odpowiedzi zadowalniającej. Jakoż w istocie nie otrzymaliśmy jej nigdy.

Skoro tylko cofnęliśmy się do wnętrza chaty i zostaliśmy sami, zauważył jeden ze współbraci: — X. BOSKO powiedział raz, że przyjdzie czas, w którym nie Salezyanie Indyan, lecz Indyanie szukać będą Salezyanów. Czyżbyśmy byli pierwszymi misyonarzami salezyańskimi w tych odległych stronach, pierwszymi synami księdza BOSKO, na których poczynają się sprawdzać wieszcze słowa czcigodnego naszego Ojca i Założyciela? Indyanie ci, niebożęta, nie umieli nam powiedzieć, kto im oznajmił o naszem przybyciu. Kto wie, czy nie był nim który z Aniołów-Opiekunów naszego Zgromadzenia, lub Anioł-Stróż tych ziem, pogrążonych jeszcze w ciemnościach bałwochwalstwa?

4. Zdziwienie Indyan. — Zakładamy kapelę. — Odsyłamy Indyan do domu. — Największa pociecha misyonarza.

Lecz wróćmy do naszych Indyan. Zaproszeni od nas, weszli do chaty. Panował tam straszny nieład: książki, sutanny, bielizna, garnki, inne sprzęty kuchenne, instrumenta muzyczne i t. d., — wszystko to było pomięszane. Mówię: *instrumenta muzyczne*, gdyż i o tych bynajmniej nie zapomnieliśmy i przywieźliśmy ich ze sobą dziesięć sztuk, by czem prędzej złożyć małą kapelę z chłopców, uczęszczających do *kaplicy świątecznej*.

Indyanie oglądali wszystko dokładnie, lecz z początku nie ruszali niczego. Dostrzedz jednakże można było w ich oczach, a więcej jeszcze w znakach, jakie sobie nawzajem dawali, mocne zdziwienie, jakie na nich sprawiał widok tylu i tak rozmaitych przedmiotów. W prawdziwy zachwyt wprawiały ich zwłaszcza instrumenta muzyczne; nie mogli się im nadziwić i napatrzyć. Ten i ów z nich, będąc nieco śmielszej natury, odważył się nareszcie dotknąć je palcem, a nawet pogłaskać. Powoli zaczynali także inni brać je do ręki. Wtenczas ująłem za bas, potężny *pelitton*, zawiesiłem go na szyi tęgiemu pewnemu Indyaninowi i kazałem mu dąć ze wszystkich sił w mundsztuk. Po kilku nieudanych próbach i wysiłkach, wydobył z niego nareszcie głos. Jakież było zdziwienie i co za radość powstała z tego powodu pomiędzy Indyanami! Wszyscy rzucili

się teraz na instrumenta, poczęli je sobie wydzierać, dąć w nie ze wszystkich sił, tak iż im brzuchy się trzęsły a oczy wychodziły na wierzch, a jużto nie posiadali się z radości, jeżeli któremu z nich udało się z trąby wydobyć choćby ladajakie brzmienie. Patrzano wtedy na niego z zazdrością, jakby na jakąś wyższą istotę. Słowem, aniśmy się spostrzegli, jak w pomieszkaniu naszem złożyła się kapela i podczas, gdyśmy sobie obiecywali, że dobierzemy do niej kilkunastu hultajów z *kaplicy świątecznej*, utworzyli ją oto w mig samiż Indyanie z pustyni.

Długo trwały te odwiedziny, gdyż Indyanie chcieli wszystko dokładnie obejrzeć. Znaleźliśmy pomiędzy nimi jednego, który, ponieważ czasu swego kilka lat przebywał pomiędzy białymi, nauczył się mówić wcale dobrze po hiszpańsku; do niego to zwracaliśmy się z naszemi zapytaniami, pragnąc się dowiedzieć czegoś, o co nam w danej chwili najwięcej chodziło.

Ponieważ mężczyźni przybyli uzbrojeni w łuki i strzały, zatem na nasze życzenie popisywali się przed nami w strzelaniu (tj. puszczaniu strzał) do mety; wyznać trzeba, że z bronią umieli się obchodzić zręcznie i że trafiali w sedno, nawet na znaczną odległość.

Zanim wyprawiliśmy ich do domu, obdarowaliśmy ich cygarami, chustkami kolorowemi, *panelą* (ciastem, zaprawionem miodem, lub sokiem z trzciny cukrowej) i innemi bagatelami. Przy tej sposobności przyszło mi na myśl doświadczyć, jakie na nich wrażenie robi muzyka; podczas gdy więc siedzieli na dziedzińcu za domem, zajęci, bądź spożywaniem łakoci, bądź oglądaniem darów, kazałem tymczasem ustawić w jednym kącie naszej izby *harmonium* i nie będąc przez nikogo dostrzeżony, zacząłem grać. Wszyscy Indyanie zadarli instynktowo głowy do góry, w przekonaniu, że to stamtąd te dźwięki płyną. Żaden z nich ani się ruszył, żaden o nic nie zapytał, pozostali w tak nieruchomej postawie, dopóki trwała muzyka. Wysoce zadowoleni ze wszystkiego, co widzieli i słyszeli, zwłaszcza zaś z otrzymanych darów, obiecawszy nam, że wrócą znowu jutro rano, — gdy się już zaczęło zmierzchać, opuścili naszą chatę, udając się do swoich „*toldos*“ tj. szałasów, które sobie na prędce sklecili za wsią, w lesie nad brzegiem rzeki.

Indyanie nadzwyczaj są podejrzliwi i niechętnie spędzają noc w towarzystwie, a nawet w pobliżu białych, obawiają się zawsze czegoś i wolą spać sami, ile możności w pobliżu jakiej rzeki, czołna na wszelki wypadek mając na pogotowiu, by módz uciekać w razie jakiegoś niebezpieczeństwa. Za łóżko służy im czołno lub *chinchorro* *), które, jak wiadomo, zawieszają pomiędzy dwoma drzewami, cokolwiek wzniesione nad ziemią, by uniknąć ukąszeń jadowitych płazów, których pełno zazwyczaj po lasach i w pobliżu wód. Mają także zwyczaj zapalać ogień, częścią na to, by odstraszyć zwierzęta drapieżne, głównie zaś w tym celu, ażeby się zabezpieczyć przed bolesnem kłuciem *moskitów*, które zwykły rzucać się z zajadłością na tych biedaków, tem więcej, że sypiają nago.

Mieliśmy pierwotnie zamiar odprowadzić Indyan do ich obozowiska, powodując się w tem także nieco ciekawością, porzuciliśmy go jednak, gdyż pora była już spóźniona i byłoby także wielce nieroztropnem, ponieważ odwiedziny o tym czasie gotowe były wzbudzić w nich jakieś podejrzenia.

Na drugi dzień rano stawili się u nas wszyscy co do nogi; owszem, ze stepów nadciągło jeszcze kilku nowych dzikich, którzy natarczywie domagali się tych samych podarunków, jakie wczoraj otrzymali byli ich współplemieńcy. Z pomocą niektórych naszych sąsiadów zdołaliśmy obdarzyć wszystkich mężczyzn i dzieci koszulami kolorowemi; nie daliśmy ich niewiastom, gdyż były dostatecznie przyodziane plecionkami z włókien liści palmowych i innych, którato tkanina, zawiązana starannie na plecach, spływała im aż do stóp, pokrywając je całkowicie. Daliśmy im zato różne drobnostki i świecidełka, a tak wszyscy byli zadowoleni. Wiedząc zaś, że są dosyć chciwi na jadło, rozdzieliliśmy pomiędzy nich zapasy żywności, ile ich posiadała nasza kuchenka.

Ponieważ zabrali ze sobą dzieci nieletnie, a nawet niemowlęta przy piersi, a była tego spora liczba, zapytaliśmy ich, czyby się zgodzili na to, żebyśmy je ochrzcili. Oczywiście, najmniejszych co do tego nie stawiali trudności, nie dlatego, żeby robili sobie co ze Chrztu św. (gdyż w ciemnocie swojej w rzeczach naszej Wiary św. nie wiedzą zgoła, czem jest ten św. Sakrament i na co tak niezbędnie potrzebny), lecz z powodu, by zyskać podarunki od matki i ojca chrzestnego, jakich im się nie szczędzi przy tej sposobności.

Lecz mniejsza o powody; to, o co nam tu głównie chodziło i zawsze chodzić będzie,

---

*) Zob. *Wiadomości salezyańskie*, nr. 10, str. 254.

jest smutne doświadczenie, jakie zrobiliśmy, że większa część tych małych dzieci indyjskich nie dożyje zwykle do lat sześciu lub siedmiu i że prawie wszystkie umierają przed dojściem do rozumu, bądź z powodu niewygód, bądź nędznego nad wszelki wyraz pożywienia.

Jestto jedna z największych pociech misyonarza katolickiego i najpiękniejszy owoc, jaki zbierać może od początku swojej pracy misyonarskiej. Ochrzcić te dzieci, to znaczy: dla większej części z nich zapewnić niebo; choćby nie było żadnej innej nadziei, już dla tego samego warto pracować na tych misyach. Korzyść, jaką z nich misyonarz odnosi, jest pewna, a jest nią *Niebo*, do którego wchodzi tyle dzieci, przezeń ochrzconych, co umierają wpierw, zanim skalają szatę niewinności. Szczęście to spotkało także dziecko, które roku zeszłego ochrzciłem był w San Vicente. Zapytałem jego ojca i matkę, dlaczego nie przynieśli ze sobą synaczka, na co mi odpowiedzieli:

—„*Murió, Padre, murió!*" — (umarł, Ojcze, umarł!).

Pytałem się o to także innych, a oni potwierdzili, że w istocie aniołek ów umarł.

5. Projekta, jakby najłatwiej można zbliżyć się do Indyan. — Sposób wychowania po chrześcijańsku nowego pokolenia. — W kim pokładają misyonarze swoje nadzieje? — Szlachetny przyjaciel na tych *równinach*.

Ponieważ musiałem zaraz wracać napowrót do Bogotá, by stawić się na czas i prawić kazania wielkopostne w naszym kościele *del Carmine* (Matki Boskiej Szkaplerznej), miałem wielką ochotę zabrać ze sobą jednego z tych Indyan i upatrzyłem sobie 15to letniego chłopca, wydającego mi się więcej od innych rozgarniętym i mówiącego dosyć dobrze po hiszpańsku, ponieważ niejaki czas przebywał pomiędzy białymi w którejś pogranicznej mieścinie. Zakręciłem się więc około tej sprawy, a pomagali mi w *kaptowaniu* także moi współbracia; wskazałem mu na tę okoliczność, o ile lepiej byłoby dla niego żyć w dużem mieście, aniżeli na pustyni, gdzie tylko cierpi niedostatek. Przyobiecałem mu różne rzeczy: ubrania, pieniądze, wyjąłem z kieszeni zegarek, ofiarując mu go i t. p.

On to wszystko przyjmował obojętnie, odpowiadając za każdym razem: *tal vez* (może); albo też mówił wręcz, że nie chce, ponieważ, jak twierdził, w Bogotá jest dużo chorób, na które się umiera, on zaś nie chce jeszcze umierać.

Kiedyśmy mimo wszelkich jego odmów i wzbraniania się nie przestawali nań nalegać i zdawało się już, jakoby miał zamiar ustąpić, zaczęła naraz wołać nań i dogadywać mu krzykliwym swoim głosem jakaś wiedźma z jego szczepu, która bacznie się wszystkiemu przyglądała i przysłuchiwała, prawdopodobnie, by go zastraszyć. Koniec końcem nic z nim nie wskóraliśmy i trzeba było dać pokój namowom.

Zaprosiliśmy go więc, by zechciał przynajmniej zatrzymać się przez dłuższy czas przy nas w San Martin: obiecywaliśmy mu dać różności, lecz i na tę propozycyę odpowiadał odmownie, dodając, że woli powrócić wraz ze szczepem w swoje strony.

Tak, jak z nim, próbowaliśmy także z innymi; skutek wszakże naszych zabiegów był jednaki.

Widząc, że z tej strony nic zyskać nie możemy, zmieniliśmy sposób postępowania i ofiarowaliśmy się pójść wraz z nimi do lasu i pędzić tam wspólnie życie. Lecz i tu spotkał nas z ich strony chłód i obojętność. Nie przyjęli wprawdzie wyraźnie, ale też nie odrzucili wprost naszej propozycyi; nie odpowiedzieli nic, sądząc zapewne, że to nasze dobrowolne ofiarowanie się nie jest tego rodzaju, żeby je można brać na seryo.

Z tem wszystkiem nie jest bynajmniej wykluczonem, iżby z czasem nie można było osiągnąć tego, co teraz otrzymać było niepodobnem. Na razie najważniejszą rzeczą jest, by często przychodzili do San Martin; tego zaś nie zaniedbają, jeżeli zawsze dobrze będzie się z nimi obchodziło, jak niemniej, jeżeli również nadal będzie się ich pociągało podarunkami. Co do tego punktu, to będziemy się starać, być zawsze dostatecznie zaopatrzeni, a w razie potrzeby, nadesłać wszystko to, o czem wiemy, że im się najwięcej podoba. Co zaś nie będzie można zrobić ze starymi, to niezawodnie da się uzyskać z młodymi.

Indyanie tutejsi mają zwyczaj oddawać matce lub ojcu chrzestnemu swoje dzieci po chrzcie, a przynajmniej żadnych nie stawiają trudności, jeżeli ich kto o to zawezwie. Tak sobie więc ułożyliśmy plan, jak na teraz: zatrzymywać w San Martin wszystkich chłopczyków i wszystkie dziewczątka, które się pozwolą ochrzcić; dalej, wyszukiwać dobrych chrzestnych, ojców i matki, i poprosić ich, by zechcieli zatrzymać u siebie dzieci indyjskie aż do 6^{go} lub 7^{go} roku życia. Skoro dojdą do tego wieku, przeniesie się je do

schronisk, lub odpowiednich zakładów, które na ten cel tymczasem się przysposobi, a tam weźmiemy je wprost pod naszą opiekę.

Postępując tak, spodziewamy się zyskać jeszcze jedną, i to wcale niemałą korzyść, t.j. pozyskać sobie ojców przez ich własnych synów.

Zresztą największą nadzieję pokładamy w Panu Bogu, w Najświętszej Maryi Pannie, *Wspomożeniu Wiernych*, i w św. Franciszku Salezym, którzy z pewnością nie przestaną błogosławić i wspierać tych misyi. To też słusznie spodziewać się możemy świetnych z trudów naszych owoców, tem więcej, iż w dziele tem wspierać nas będą — na co liczymy z pewnością — modlitwy Salezyanów i ich Pomocników. Oby Pan Bóg Wszechmogący co rychlej sprawić raczył, by praca nasza obfite przyniosła owoce i żeby przyczyniła się do zbawienia tylu dusz, dotąd jeszcze pogrążonych w ciemnościach śmierci i wijących się w pętach najsroższej niewoli, bo niewoli szatańskiej.

Nie chcę i nie mogę zakończyć niniejszego pisma, nie uczyniwszy choćby krótkiej tylko wzmianki o przyjacielu naszym i wielkim dobroczyńcy, którego tutaj pozyskaliśmy. Nazywa się Benito Rondon; urodził się, wychował i żył zawsze na tych *Llanos*. Jestto serce złote i całą duszą oddany Salezyanom. Przyjął nas od razu z otwartemi ramionami, własnym kosztem przygotował nam dom i urządził wszystko, co było potrzeba, by nam na niczem nie brakowało. On to był właśnie tym, który posłał swoje muły do Villavicencio po Salezyanów, on kazał przewozić wszystkie nasze kufry i tłomoki do San Martin, a prócz tego wyświadczył nam niezliczone inne jeszcze dobrodziejstwa. Niech mu Pan Bóg za to błogosławi i stokrotnie wynagrodzi jego życzliwość i serce złote, jakie okazał synom księdza Bosko.

Pobłogosław, najdroższy Ojcze, te nowe nasze misye na *równinach San Martin*, poleć je modlitwom wszystkich współbraci i Pomocników naszych, a jednocześnie przygotuj zastęp gorliwych pracowników, którzy tutaj bardzo są nam potrzebni. Pobłogosław także niżej podpisanego, gdyż ze wszystkich Twoich synów on z pewnością najbardziej potrzebuje pomocy niebieskiej.

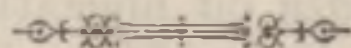
Z głębokiem uszanowaniem i czcią
zostaję
najpokorniejszym synem

X. Ewazy Rabagliati.



Msze św. gregoryańskie.

(Podług *Écho du Purgatoire*).



Był to Papież, św. Grzegorz I, zwany *Wielkim* (590-604 po Chr.), który pierwszy wprowadził zwyczaj odprawiania Mszy św. za dusze zmarłych przez 30 dni *jednym ciągiem*, zacząwszy od dnia pogrzebu. Stąd pochodzi nazwa *Mszy św. gregoryańskich*.

W jednem z najznakomitszych swoich dzieł (*Dialogi*, *lib.* IV, *cap.* 55) mówi tenże Ojciec św. o pewnym zmarłym zakonniku, imieniem Justus: „*Postarajcie się, ażeby w ciągu 30tu dni odprawiała się za nim Msza św., i ażeby ani jeden dzień nie minął, w którymby nie sprawowano św. Ofiary na jego intencyą.*“ Bolandyści piszą, że tenże Grzegorz św. 30go dnia upewnionym był wewnętrznie o wybawieniu z mąk czyscowych duszy Justa zakonnika, co potwierdza również napis, jaki się dotąd znajduje w Rzymie, na pagórku *Coelius*, w kościele św. Andrzeja i Grzegorza, zbudowanym na miejscu dawnego mieszkania świętego Papieża.

Według tradycyi był św. Grzegorz I powiadomiony drogą *objawienia* o skuteczności tych 30tu Mszy św.

Pewnego dnia, pałając gorącą miłością i modląc się żarliwie za duszami, w czyscu cierpiącemi, żalił się przed Panem, że po śmierci nic dla nich nie będzie mógł uczynić. „*Przyjacielu*,“ powiedział mu wtedy na to Pan Jezus, „*w nagrodę za twoją gorliwość udzielę ci łaski, jedynej w swoim rodzaju tj. że każda dusza, w czyscu cierpiąca, za którą się odprawi 30 Mszy św. na twoją pamiątkę i* **bez przerwy**, *zostanie natychmiast z czysca wybawioną, chociażby najbardziej przeciwko mnie zawiniła; a co więcej, nie będę czekał, aż wszystkie 30 Mszy św. będą za nią odprawione, lecz wybawię ją z czysca, skoro tylko ofiara za nią zostanie złożoną.*“

Zwyczaj odprawiania 30tu *Mszy św. gregoryańskich*, nader rozpowszechniony w stolicy Kościoła katolickiego, Rzymie, w naszych stronach jest jeszcze bardzo mało znany. Przyczyną tego są rządy protestanckie i schizmatyckie (w Austryi józefińskie), które

poznosiły klasztory. Brak zakonów męskich i niedostateczna ilość kapłanów świeckich prawie uniemożebniły teraz w naszym kraju odprawianie 30tu *Mszy św. gregoryańskich*. Inaczej się rzecz ma po zakonach. Prawie wszystkie Zgromadzenia zakonne wkładają w *Ustawach* na swoich członków obowiązek odprawiania 30tu *Mszy św. gregoryańskich* z każdym członkiem zmarłym, a większa ich część trzyma się jeszcze dziś tego zwyczaju, jak np. Karmelici, Dominikanie i inni. Istnieją dotąd stare wydania Mszałów dominikańskich, które zawierają osobne modlitwy, mające być odmawiane we *Mszach św. gregoryańskich*.

W pamiętnikach O. GÉRARD, Jezuity, misyonarza katolickiego w Anglii za panowania królowej Elżbiety (wydanych przez O. Forbes r. 1871, rozdz. III, stron. 47), wspomina się, jako pewien kapłan angielski z owych czasów radził pobożnej pewnej wdowie, ażeby za swoim zmarłym małżonkiem kazała odprawić Msze św. przez dni 30, *stosownie do starodawnego zwyczaju katolików angielskich*.

Starodawny ten zwyczaj możemy sobie łatwo wytłomaczyć. Św. GRZEGORZ I był właśnie tym, który do Anglii wysłał pierwszych misyonarzy: cóż łatwiejszego do przypuszczenia, jak to, że oni pierwsi rozpowszechnili w Anglii ten rodzaj nabożeństwa za zmarłych, tak wielce drogi sercu wielkiego Papieża?

Św. Wincenty Ferreusz polecił odprawić 30 *Mszy św. gregoryańskich* za zmarłą swoją siostrą i widział ją z czysca uwolnioną przez owe Msze św.

Na zakończenie przytoczymy tu, co się tyczy *Mszy św. gregoryańskich*, kilka kwestyi, niedawno temu przedłożonych św. Kongregacyi Odpustów, jak również tejże odpowiedzi (14go stycznia 1889).

I. Kwestya. Czy ufność wiernych, uważających odprawianie 30tu Mszy św., tak zwanych *gregoryańskich*, jako szczególnie skutecznych za łaską i z miłosierdzia Bożego, ażeby wybawić duszę z czysca, jest zbożna, zatwierdzona i rozumna? I czy zwyczaj odprawiania powyższych Mszy św. jest przez Kościół zatwierdzony?

Św. Kongregacya odpowiedziała potwierdzająco (*affirmative*).

II. Czy jest potrzebnem, ażeby 30 Mszy św., zwanych *gregoryańskiemi*, były odprawiane

1) na pamiątkę św. GRZEGORZA, nie wymieniając jednakże tego Świętego?

2) przez tegosamego kapłana?

3) za jedną tylko duszą, bez żadnej innej poszczególnej intencyi?

4) przez 30 dni z rzędu, bez żadnej przerwy?

5) przy tymsamym ołtarzu?

Św. Kongregacya Odpustów odpowiedziała na te pytania i wątpliwości, jak następuje:

Na pytanie 1sze, *przecząco* (= nie potrzeba koniecznie odprawiać Mszy św. na pamiątkę św. GRZEGORZA).

Na pyt. 2go, *przecząco* (= nie potrzeba, żeby wszystkie 30 Mszy św. były odprawiane przez tegosamego kapłana).

Na pyt. 3cie odrzekła, że *Msze św. gregoryańskie* mają być odprawiane za temi duszami, o których uwolnienie z mąk czyscowych prosi się miłosierdzia Bożego.

Na pyt. 4te, *potwierdzająco* (= *Msze św. gregoryańskie* mają się odprawiać przez 30 dni z rzędu, *bez przerwy*).

Na pyt. 5te, *przecząco* (tj. *Msze św. gregoryańskie* mogą się dowolnie odprawiać przy różnych ołtarzach).

Niejednego to zapewne zdziwi, dlaczego 30 *Mszy św. gregoryańskich*, odprawianych *bez przerwy*, jedna za drugą, za dusze zmarłych, zdoła u Pana Boga wyprosić łaskę, jakiej może nie ubłagają w o wiele większej liczbie, lecz luźno i z przerwami, odprawiane Msze św.

Na to żaden człowiek odpowiedzi dać nie może. Panu Bogu jednemu wiadomo, dlaczego *Msze św. gregoryańskie* przed wszystkiemi innemi otrzymały ten przywilej. To pewna, że zwyczaj modlenia się przez 30 dni z rzędu za umarłymi, sięga najdawniejszych czasów. W Piśmie św. czytamy, że Żydzi przez 30 dni modlili się i opłakiwali śmierć Mojżesza i Aarona. Św. GRZEGORZ I przywrócił więc starodawny, na odwiecznej tradycyi w Starym i Nowym Zakonie oparty zwyczaj, a objawienie, podane powyżej, utwierdziło go w jego przekonaniu.



★

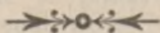


PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział X.

Objęcie w posiadanie nowego Oratoryum; jego wspaniała bazylika. — Dobry skutek. — Pocieszające początki. — Sposób, jakiego się trzymano w Oratoryum. — Zręczny rybitwa. — Ptak w sidłach. — Pożegnanie na wieczór.

Pinardi więc dał słowo naszemu księdzu Bosko, że na przyszłą niedzielę przygotuje mu miejsce na *kaplicę świąteczną* i słowa też dotrzymał.

Widząc, że do roboty było huk, jak również, że chcąc na oznaczony dzień pracę oddać gotową, należało wcześnie ją rozpocząć, zwołał zaraz na drugi dzień robotników, by ziemię w szopie skopali i wynieśli, murarzy, by jej ściany częścią poprawili, częścią wznieśli nowe, cieśli, dla dania nowej posadzki i t. d., a gdy i to nie wystarczało, przyłożył rękę do dzieła on sam wraz z poczciwym Pankracym, tak iż bez przesady powiedzieć można, że w tydzień dokonano wewnątrz i na zewnątrz szopy pracy, wymagającej w podobnych warunkach co najmniej miesiąc czasu.

Tak więc w niedzielę wielkanocną, dnia 12go kwietnia 1846 r., miejsce zadzierżawione stało gotowe: długa szopa, mająca służyć za *kaplicę*, i dziedziniec na rozrywki.

Gdy o naznaczonym czasie zebrała się już spora liczba chłopców, kazał X. Bosko przenieść z *Rifugio*, ze swego mieszkania, różne sprzęty kościelne, jak niemniej przyrządy do gier i zabaw, poczem, otoczony chłopcami, objął w posiadanie nowe Oratoryum. Pierwszego zaraz dnia rano, przygotowawszy wszystko, co było potrzeba, poświęcił (otrzymawszy na to od X. Arcybiskupa osobne upoważnienie) skromny budynek, oddając go na służbę Bożą pod wezwaniem św. Franciszka Salezego, i odprawił w nim Mszę św., której wysłuchało wielu chłopców, ludzi z sąsiedztwa i różnych osób z miasta. Najprzew. X. Arcybiskup Fransoni, pragnąc okazać księdzu Bosko niezmienną swą łaskawość i szczególniejsze swe zadowolenie, odnowił dawniej mu już udzielone pozwolenie odprawiania w *kaplicy świątecznej* Mszy św., udzielania błogosławieństwa Najśw. Sakramentu, słuchania spowiedzi i rozdzielania Komunii św., prawienia kazań, odprawiania triduów, nowenn, ćwiczeń duchownych, przygotowywania do Sakramentu Bierzmowania i Komunii św. w ogólności, zwłaszcza zaś do spowiedzi i komunii wielkanocnej, tak jak gdyby chłopcy mieli tam własną parafią.

Nie będzie zapewne od rzeczy, podać na tem miejscu krótki opis nowej *kaplicy*.

Byłato izba, przerobiona z szopy, długa piętnaście do szesnastu metrów, szeroka zaś pięć do sześciu. Podłoga drewniana zrobiona była pospiesznie, a więc także pobieżnie, o szparach tak szerokich, iż śmiało mogły przez nie się przeciskać nietylko myszy, lecz także ścigające je koty. Sufit stanowiły rogóżki, obrzucone gipsem.

A jej wysokość? Ta, wyznać trzeba, była nieco mniejsza, aniżeli np. wysokość bazyliki św. Piotra w Rzymie. Aby o niej dać jakie takie wyobrażenie, wystarczy powiedzieć, że ile razy Najprzew. X. Arcybiskup przybywał do Oratoryum, by udzielać Sakramentu Bierzmowania św., lub też sprawować inny jaki obrzęd kościelny, i wstępował na podwyższenie, na którem stało przygotowane dlań krzesło, musiał zawsze uchylać głowy, by mitrą nie zawadzić o sufit.

Oto wspaniała bazylika Oratoryum, jaka przez sześć blisko lat służyła mu na służbę Bożą.

Chociaż nowy lokal nie był tak obszernym, jakby tego wymagał cel, na jaki był przeznaczony, to jednak już dla tego samego, że był wynajętym na mocy formalnego kontraktu, uwalniał księdza Bosko przynajmniej od obawy, że lada chwilę przyjdzie mu znowu przenosić się w inne miejsce, co zawsze było połączone z wielkim nieporządkiem i zamieszaniem; bądź jak bądź, na razie czynił przynajmniej zadość najpilniejszym potrzebom.

Z tem wszystkiem nie obyło się i tu z początku bez niejakich przeszkód, wprawdzie nie ze strony właściciela (Pinardi'ego), lecz

z powodu dość bliskiego sąsiedztwa z pewnym domem nierządnym, wznoszącym się w pobliżu, jak również z przyczyny szynku, zwanego szumnie *Albergo della Giardiniera* (hotel pod ogrodniczką), późniejszego domu pani Bellezia, przytykającego tuż do *kaplicy świątecznej*, gdzie zwłaszcza w dni świąteczne zbierali się różni bibosze i rozpustnicy z miasta. Dzięki jednakże czujności księdza Bosko, oraz chętnemu i ścisłemu stosowaniu się do jego rozporządzeń ze strony chłopców, nie odniosła stąd zbierająca się co niedzielę i święta w Oratoryum młodzież żadnego na duszy uszczerbku; owszem, hałaśliwe jej gry i zabawy, tudzież śpiewy i krzyki, osiągnęły niezadługo pożądany od wszystkich skutek: sprawiły mianowicie, iż zaczęto powszechnie uważać miejsce to jako nieodpowiednie na rozpustne zabawy, zaczem zakład zwinięto, sławetny zaś „hotel“ czy garkuchnię przeniesiono gdzieindziej. X. Bosko ze swej strony pospieszył z zadzierżawieniem także tego domostwa, a nieco później nabył je nawet na własność, odcinając w ten sposób raz na zawsze i czyniąc całkiem niemożliwym powrót w te strony ludzi powyższego rodzaju. Tak więc Oratoryum na Valdocco, nie wiedząc nawet o tem, od samego swego początku sprawiło taki sam skutek, jak woda święcona: odstraszyło dyabła i zmusiło do ucieczki jego służalców.

Tymczasem wieść, że Oratoryum pozyskało sobie nareszcie miejsce stałe, a zwłaszcza dowody przychylności i zaufania, jakich mu nie skąpił Najprzewielebniejszy X. Arcypasterz, następnie, uroczyste nabożeństwa, jakie się w niem w główniejsze święta odprawiały, po części także podarunki, od czasu do czasu dostarczane przez różnych dobrodziejów, muzyka, która coraz więcej się doskonaliła, najrozmaitsze gry i zabawy, stare i nowe, znane i nieznane, jakie tylko mógł wynaleść pomysłowy umysł, a ożywić gorącem swojem tchnieniem serce księdza Bosko, — wszystko to ściągało ze wszystkich dzielnic miasta coraz więcej chłopców i starszej już młodzieży do jego *kaplicy świątecznej*. Dowodem tego było rosnące bez przestanku grono stałych Oratoryum uczestników: niezadługo liczba wszystkich chłopców wynosiła z górą 700. W czasie nabożeństwa wszystkie kąty *kaplicy* były zajęte, zapchany był również chór, a nawet zakrystya, którą stanowiła izba, umyślnie na ten cel najęta, a przytykająca do *kaplicy* od strony południowej.

Teraz zaczęli także ściągać się do księdza Bosko kapłani, którzy mu dawniej w jego *kaplicy świątecznej* byli pomagali; i tak, prócz nieustraszonego X. Dr. Borel'a nieśli mu chętną i częstą pomoc: X. Józef Trivero, X. Dr. Jacek Carparo, X. Dr. Józef Vola, X. Dr. Robert Murialdo, X. Dr. Chiaves, X. Bosio, X. Merla, X. Piotr Ponte i inni, których zadługo by tu było wyliczać. Nie dziw więc, że w tak pomyślnych warunkach zaczęło się Oratoryum na Valdocco rozwijać w sposób istotnie zdumiewający.

Metoda, jakiej się wówczas trzymano w kierowaniu młodzieżą, i sposób odbywania zebrań świątecznych był prawie taki sam, którego używa się dziś jeszcze w Oratoryum św. Franciszka Salezego dla *externów* (chłopców dochodzących); jest również ta sama we wszystkich innych zakładach salezyańskich, zawsze i wszędzie na Oratoryum turyńskiem się kształtujących i od tegoż wywodzących swój początek. Sądzę, iż czytelnicy nie wezmą mi za złe, jeżeli na tem miejscu podam krótki jej opis ku powszechnej wiadomości.

W każdą niedzielę i święto, wczas rano, otwierano *kaplicę* i rozpoczynało się słuchanie spowiedzi, które zazwyczaj przeciągały się aż do Mszy św. Suma odprawiała się zwykle o godzinie 8ej rano, lecz dla wygody wszystkich tych, którzy pragnęli przystąpić do Sakramentu Ołtarza, odwlekano ją nieraz aż do godziny 9ej lub jeszcze później, gdyż X. Bosko, zwłaszcza kiedy był sam jeden, nie mógł wszystkiemu naraz podołać. W czasie Mszy św. jeden ze starszych i roztropniejszych chłopców sprawował urząd *asystenta*, bacząc, by zachowywano porządek, inny znowu odmawiał na przemian z młodzieżą głośno modlitwy i przygotowania do Komunii św. Po skończonej Mszy św. wstępował X. Bosko na niską kazalnicę i miał krótkie kazanie. Początkowo wykładał ewangelię, przypadającą na każdą niedzielę i święto, niezadługo jednakże rozpoczął wykład historyi świętej i dziejów Kościoła katolickiego, które to wykłady miewał odtąd stale w każde święto przez przeciąg 20 lat z górą. Było to opowiadanie proste i przystępne, przeplatane barwnym opisem zwyczajów staroświeckich, w różnych krajach i u różnych narodów, począwszy od czasów biblijnych i ludu wybranego, po przez wszystkie okresy dziejów Kościoła aż do wieków nowszych, dalej, opisem miejsc, oraz bliższych okoliczności, łączących się z niemi: — podobały się zaś nadzwyczaj, zarówno wielkim jak małym, —

a ucząc ich jednocześnie zasad Wiary św. i historyi, nadawały się bardziej, niż wszystko inne, do wlania w serca młodociane wstrętu do występku a natomiast zamiłowania cnoty. Po skończonem nabożeństwie, wyszedłszy z kaplicy i odbywszy krótką rekreacyą, rozpoczynano szkółkę niedzielną, uczono się czytać, pisać, rachować, śpiewać z nut, co wszystko zajmowało czas do południa.

Oto w krótkości zajęcia poranne.

O pierwszej godzinie po południu zaczynała się ulubiona gra w kręgle (*alle boccie*), chodzenie na szczudłach, strzelanie z wiatrówek, szermierka na pałasze drewniane i ćwiczenia gimnastyczne. O pół do 3ej udawała się młodzież do *kaplicy*, gdzie się odbywał wykład katechizmu. Nieumiejętność chłopców w tym punkcie była (mówiąc w ogólności) wielką, lecz zamiast zniechęcać księdza Bosko, pobudzała go owszem do oddania się im całem sercem i duszą i do podwajania usiłowań i zabiegów, słowem, stania się wszystkiem dla wszystkich, żeby ich tylko nauczyć niezbędnych, najpotrzebniejszych w codziennem życiu i w zawodzie, jaki sobie byli obrali, wiadomości. Z początku, gdy zaczął odmawiać *Ojcze nasz*, rzadko który z chłopców umiał go na pamięć i potrafił wyrecytować płynnie aż do końca, tak iż nieraz przychodziło mu odmawiać pacierz za obydwa chóry. Często zabrakło także tego lub owego katechety, czasami nawet kilku naraz, — a wtedy, nie chcąc chłopców zostawić bez obroku duchownego, bądź zgromadzał ich wszystkich naokoło siebie, bądź też dzielił ich na kilka oddziałów i przechodząc kolejno od jednego do drugiego, pełnił obowiązki za wszystkich.

Po skończonym wykładzie katechizmu odmawiano Rożaniec. Później śpiewano jeszcze *Ave maris stella* i *Magnificat*, następnie zaczęto stopniowo dodawać Psalm *Dixit Dominus* (Psalm CIX), nareszcie wszystkie inne Psalmy z nieszporów wraz o odpowiedniemi *antyfonami* i tak oto, w ciągu jednego roku, doprowadził X. Bosko chłopców tak daleko, że umieli śpiewać całe *oficyum* (nieszpory) do Matki Boskiej.

Po nieszporach następowała nauka, osnuta po większej części na jakim budującym przykładzie, w którym napiętnowany był jakiś występek, a zarazem przeciwstawiona odpowiednia temuż cnota: pierwszy na to, by go sobie obrzydzić, ostatnią zaś, by ją całem sercem umiłować i sobie przyswoić.

Wreszcie kończyło się nabożeństwo wieczorne odśpiewaniem litanii do Matki Boskiej i udzieleniem błogosławieństwa Najśw. Sakramentu.

Po nabożeństwie zaczynała się rekreacya, w czasie której każdy z uczestników *kaplicy świątecznej* mógł się zajmować tem, co mu najwięcej przypadało do smaku. Stąd tacy, którzy jeszcze nie umieli modlitw, lub nie byli przypuszczeni do Komunii św., chociaż już mieli lata, pobierali oddzielnie naukę katechizmu; inni znowu, obdarzeni z natury świeżym i dźwięcznym głosem, zajmowali się śpiewem lub muzyką; *analfabeci* (nie umiejący czytać ani pisać) uczyli się sylabizować i stawiać głoski, — większa zaś częśc młodzieży spędzała czas wesoło, zabawiając się, jak się komu podobało: skakaniem, bieganiem do mety, najróżniejszemi grami i t. p.

Myliłby się jednakże, ktoby sądził, iż przy najmniej ten czas ogólnej zabawy po nieszporach był dla księdza Bosko chwilą wypoczynku; — przeciwnie był to czas, w którym wytężał wszystkie swoje siły, czas niezmordowanych starań i zabiegów, chwila najobfitszego połowu. A to w jaki sposób?

Oprócz tego, że dawał na wszystkie strony baczność, aby nie zaszedł jaki nieporządek, lub przypadek, korzystał z tego przeciągu czasu, dłuższego lub krótszego, stosownie do pory roku, ażeby zbliżyć się to do tego, to do owego z chłopców i jak gdyby miał mu się z czemś zwierzyć w sekrecie, nachylał mu się do ucha i z niewypowiedzianą dobrocią i słodyczą szepnął mu:

—„Kiedy się przyjdziesz wyspowiadać? Przyjdź, kochanku! oczekuję cię w sobotę wieczorem.“

Chłopiec musiał mu to przyrzec.

Innego znowu pytał:

—„Czy uczęszczasz jeszcze do tego a tego miejsca, w towarzystwie tego a tego kolegi? Mój drogi, zrób mi tę przyjemność i niechódź tam więcej.“

Na to również otrzymywał przyrzeczenie.

Znowu innemu rzekł:

—„Słyszałem, że zakląłeś. Uważaj na siebie, kochanku, i nie mów więcej takich brzydkich słów.“

Polecenia takiego młodzież nigdy nie zapominała.

—„Mocnobym sobie życzył, żebyś mi wyświadczył pewną przysługę,“ mówił czwartemu i piątemu, „czy mogę na to liczyć z pewnością?“

—„Ależ jak najchętniej. Czem tedy mogę księdzu Dobrodziejowi służyć?“

—„Byś w przyszłą niedzielę przyprowadził z sobą do spowiedzi swego towarzysza.“

I tak dalej.

Takiemi oto i tym podobnemi napomnieniami i zachętami, udzielanemi każdemu z osobna i poufnie, sprawił X. Bosko, że wielka liczba młodzieży oblegała w każdą sobotę i niedzielę jego konfesyonał, dopełniając obowiązków, włożonych na nich przez Kościół, i wykonywując wszystkie wogóle praktyki religijne z budującem nabożeństwem, i że zawładnął całkowicie ich sercami, tak iż mógł niemi dowolnie kierować i rozporządzać.

Nieraz atoli zdarzało się także, że ten lub ów z uczęszczających do Oratoryum chłopców, i to z najbardziej zaniedbanych, najwięcej nauki Wiary i obyczajów potrzebujących, nie od razu poddawał się pełnym ojcowskiej miłości jego zabiegom i uporczywie stronił od Sakramentów św.; wtenczas chwytał się X. Bosko innych, niemniej od poprzednich skutecznych środków. I tu przychodzi mi właśnie na pamięć następujące zajście.

Pewien młodzieniec, około 17 lat liczący, był już po kilka razy wzywany, ażeby odbył spowiedź i Komunią wielkanocną; on jednakże z roku na rok wszystkie podobne wezwania i napomnienia zbywał przyrzeczeniami, nie dotrzymując ich nigdy. Pewnej niedzieli, gdy po nieszporach zaczęła się rekreacya, a on cały czerwony i potem zlany oddawał się szalonej zabawie, zawołał go X. Bosko do siebie całkiem niespodzianie i zawezwał, by razem z nim udał się do *kaplicy* i pomógł mu tam coś zrobić. Uradowany, iż może księdzu Bosko usłużyć, porzucił młodzieniec zabawę i pod pierwszem wrażeniem chciał wbiedz za nim do *kaplicy* tak, jak stał, tj. w spodniach i kamizelce.

—„Tak nie można," rzekł mu X. Bosko. „Włóż wprzódy na siebie przyodziewek."

Młody ubrał się w jednej chwili.

Gdy weszli do *kaplicy*, zaprowadził go X. Bosko za ołtarz do chóru, gdzie znajdował się klęcznik. Nasz młodzieniec, nie domyślając się jeszcze, o co chodzi, chwycił zań skwapliwie, w mniemaniu, że po to był wezwany, ażeby go przenieść.

—„Zostaw go, zostaw!" rzekł X. Bosko.

—„Cóż więc mam czynić?"

—„Masz się wyspowiadać."

—„Wyspowiadać się? . . . . Ależ nie jestem wcale przygotowanym."

—„Wiem o tem."

—„A więc?"

—„Więc przygotuj się teraz, a zaraz potem odprawisz spowiedź, jakeś mi to kilka razy już był przyobiecał."

—„Doskonale!" zawołał tamten. „Czuję tego rzeczywistą potrzebę. Dobrze ksiądz Dobrodziej zrobił, łapiąc mnie w ten oto sposób, gdyż inaczej, dla głupich względów ludzkich i z obawy moich towarzyszów w mieście nie byłbym się może sam nigdy na to zdobył."

Podczas gdy X. Bosko odmawiał brewiarz, przygotował się młodzieniec do spowiedzi, odprawił ją przykładnie i z widocznem wzruszeniem, następnie trwał przez dłuższy czas na modlitwie, składając Panu Bogu winne za to dziękczynienie. Od owego dnia stał się jednym z najgorliwszych w dopełnianiu obowiązków i wszelkich praktyk religijnych, a słowem i przykładem pociągał za sobą towarzyszów z miasta.

Opowiadając im powyższe zajście, zaczynał od słów: „Słuchajcie! Opowiem wam, jak zręcznie X. Bosko zastawił sidła, by schwytać pewnego ptaszka," — czem wszystkich pobudzał do śmiechu.

Szczególniejszy widok przedstawiało Oratoryum, gdy je młodzież za nadejściem nocy opuszczała, udając się do domu. Zdawało się wtedy, jak gdyby jakiś potężny magnes przyciągał chłopców do swego Ojca duchownego, nie pozwalając odeń się oderwać. Każdy z osobna życzył mu już po razy sto *dobrej nocy*, a nie mógł na żaden sposób od niego się oddalić. Lubo X. Bosko odsyłał ich do domu, powtarzając:

—„Idźcie już, moje chłopaczki, idźcie! Już czas na was! Nadchodzi noc, a w domu was oczekują!" — to jednak wszystkie jego wzywania były daremne i nikt się nie ruszał. By ich nakłonić do odejścia, trzeba było, ażeby on sam szedł razem z nimi i odprowadził ich kawał drogi.

Działo się to zwykle w następujący sposób.

Odmówiwszy modlitwy wieczorne i *Anioł Pański*, zgromadzali się wszyscy naokoło niego, poczem sześciu z najsilniejszych młodzieńców, splotłszy ręce, utworzyło rodzaj siedzenia, na którem X. Bosko, czy chciał czy nie chciał, musiał siadać. Wtedy ustawiwszy się w kilka rzędów, nieśli go wśród śpiewów aż do miejsca, zwanego pospolicie *Rondò*. Stanąwszy tam, X. Bosko zsiadał z zaimprowizowanego krzesła, chłopcy zaś odśpiewali jeszcze kilka pieśni nabożnych, z których ostatnią była zawsze:

Lodato sempre sia
il nome di Gesù e di Maria!

(*Niech będzie zawsze pochwalonem imię Jezusa i Maryi*!).

(Ciąg dalszy nastąpi).

**



Hospicyum św. JANA EWANGELISTY w Turynie.

(Drugi dom XX. Salezyanów w Turynie).



MISYONARZY SALEZYAŃSKICH,
wysłanych do południowej Ameryki
w grudniu 1893 r.

Skreślił X. Stanisław Cynalewski.
(*Ciąg dalszy*).

Niedziela, 10ty grudnia.

Miłe, orzeźwiające powietrze dnia wczorajszego przekazane zostało wiernie dzisiejszemu dzionkowi. Pogoda była prześliczna — fale, zawsze z właściwą sobie powagą, poruszały się lekko, — gdzie oko padło, widziało się wszędzie wesołe twarze, — humor był u wszystkich wyborny, — słowem, wczoraj i dziś prawdziwa rozkosz podróży! To też nieomieszkaliśmy wyzyskać sprzyjającej nam *aury* i choć w części powetować, cośmy przedwczoraj byli postradali.

X. Biskup (Cagliero) postanowił obchodzić dzisiaj uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny, której we właściwym dniu (8go grudnia) z przyczyny burzy święcić nie byliśmy mogli. Na pokładzie, upiększonym w tym celu różnobarwnemi chorągwiami, ustawiono ołtarz, przy którym odprawił Mszę świętą, w obecności wszystkich prawie podróżnych, kapelan księdza Biskupa, X. Pirolla. Przede Mszą, podczas gdy przygotowywano, co było potrzeba, na pokładzie, X. Biskup sformował naprędce z misyonarzy i Sióstr Najśw. Maryi Wspomożycielki (których kilkanaście również udawało się do Ameryki), wcale niezły chór śpiewaków. W czasie Mszy św. odśpiewaliśmy na trzy głosy *Kyrie*, *Credo*, *Sanctus* i *Agnus Dei* — wszystko własne utwory X. Biskupa, — który osobiście spełniając czynność dyrygenta śpiewu, towarzyszył nam na fortepianie, podczas gdy p. Izydor Benzoni, nauczyciel muzyki i od biedy architekt (braciszek salezyański) wtórował mu na flecie. Harmonijne głosy śpiewaków i śpiewaczek rozlegały się po całym statku, który jednak w szybkim swym biegu, prując z lekkim łoskotem powierzchnię wody, tłumił w części echo tych pobożnych pieni.

Oprócz podróżnych, zgromadzonych na pokładzie, nikt inny z żyjących nie słyszał naszego śpiewu, gdyż wokoło, jak tylko okiem sięgnąć można, puszcza niezmierzona wody się przedstawiała, — lecz Ten, przed którego tron były skierowane serdeczne nasze uczucia i westchnienia, przyjął pewno od nas tę skromną daninę naszego serca, którą staraliśmy się oddać Mu należną cześć i chwałę, jako Panu i Stwórcy wszechświata.

Powaga, z jaką były wykonane ceremonie Mszy św. i nasz śpiew, głębokie wywarły wrażenie na naszych współpodróżnych, na takich nawet, którzy stojąc w tyle, początkowo z pewnem nieuszanowaniem, z nakrytą głową i ręce trzymając w kieszeniach, ożywioną i wybuchami pustego śmiechu przerywaną, prowadzili między sobą rozmowę.

Godziny popołudniowe spędziliśmy w niezwykłej, jak dotąd, na statku wesołości. Kilku z naszych zebrało się w sali jadalnej, gdzie był umieszczony fortepian dla użytku podróżnych, i śpiewem najróżniejszych pieśni zabawiali liczne grono słuchaczów.

Tegosamego dnia miałem także dłuższe posłuchanie u X. Biskupa Cagliero, dotyczące mego przyszłego zajęcia w Bahia Blanca, a raczej w Argentynie. Żałował, że nie mam jeszcze święceń kapłańskich, by z tem większym skutkiem módz zaspokajać potrzeby duchowne osadników, którzy od kilku już lat z niecierpliwością oczekują pomocy, przyrzeczonej im od niego. Podczas gdy z ubolewaniem wspominał o krytycznem położeniu pod względem opieki duchownej opuszczonych w Ameryce rodaków naszych, zbliżyliśmy się wśród ożywionej rozmowy do trzeciej klasy przedziału okrętowego, liczącej około 700 pasażerów. X. Biskup wezwał mnie, bym wspólnie z nim wstąpił na tegoż pokład, którą to propozycyę chętnie przyjąłem, tembardziej, że od kilku już dni nosiłem się z myślą odwiedzenia i poznania bliżej tych współtowarzyszy podróży, których dotąd z naszego pokładu w odległości prawie 70ciu metrów tylko widywałem.

Byli to ludzie rozmaitych stanów i wieku; u wielu z nich wyraźnie dostrzedz było można ślady, że nędza od dawna już stała się wierną ich towarzyszką i że cały dobytek, jaki posiadali w ojczyźnie, zapewne ledwie wystarczył na przewóz do wymarzonej krainy szczęścia, która zwykle o srogi zawód przyprawia takich biedaków.

Obojętne przyjęcie X. Biskupa z ich strony, bez żadnego na zewnątrz okazanego uszanowania, nie zdziwiło mię, gdyż już

więcej razy miałem był sposobność widzieć zachowanie się ludu włoskiego przy spotkaniu się z wyższymi duchownymi, a nawet Pasterzami własnej dyecezyi. Nietylko, że nie pozdrowili go choćby tylko odkryciem głowy, ale nawet, ogółem wziąwszy, udawali, jakoby go wcale nie widzieli. O pocałowaniu pierścienia biskupiego nawet mowy być nie może. X. Biskup jak najuprzejmiej zwracał się to do jednego, to do drugiego z nich, dowiadując się, skąd pochodzą, z których okolic Włoch, dokąd zamyślają się udać, jaki jest ich zawód i t. p. Zapytani, z niezachwianą pewnością oświadczali, że jadą do Ameryki po to, by tam znaleść szczęście, a w każdym razie dobry zarobek i bądź co bądź polepszyć nieszczęśliwą swoją dolę.

Na razie nie chciał X. Biskup goryczą zaprawiać ich słodkie marzenia i ukazaniem twardej rzeczywistości rozwiać ich ułudy, lecz z wielkim (rzekłbym) taktem i ogędnością przysposabiał ich już teraz, by stanąwszy w nowym świecie i nie znalazłszy tego szczęścia, jakiego się może spodziewali, znosili bez szemrania i z poddaniem się woli Bożej tę dolę, jaką Panu Bogu będzie się podobało w przyszłości na nich zesłać, — mówił to zaś z doświadczenia, nabytego w czasie kilkunastoletniego swego pobytu w Ameryce południowej. Zwracał się również ze słowami, tchnącemi słodyczą i łagodnością, do młodzieży płci obojga, a znalazłszy, że wielu z pomiędzy nich nietylko nie umiało modlitwy Pańskiej (*Ojcze nasz*) i *Zdrowaś Marya*, ale co gorsza, nawet i znak krzyża św. był im całkiem obcym, zgromił z tego powodu rodziców, wykazując im opieszałość w służbie Bożej, która się mści w późniejszem życiu na nich samych, czem u niejednego ojca rodziny wywołał rumieniec wstydu na twarz.

Chodząc dalej po tym pokładzie, napotkaliśmy tam również takich, którzy pomimo iż liczyli już 15, 16, a nawet 17 lat życia, nie byli jeszcze ani razu u Spowiedzi i Komunii św. Księdzu Biskupowi, który na swoich wycieczkach misyonarskich w Ameryce południowej bezustannie, nieledwie codziennie z podobnymi ludźmi się spotyka, nie było to rzeczą bynajmniej dziwną, ani nową, jakkolwiek bolesną, — tem boleśniejszą, że to byli własni jego rodacy, synowie kraju, który pierwszy posiadł cywilizacyę chrześcijańską, a którzy wmawiając w siebie, iż są potomkami starożytnych Rzymian, z dumą zwykli prawić o swym rzekomym „prymacie" nad wszystkimi innymi narodami, zowiąc je w porównaniu ze sobą „barbarzyńskimi."

X. Biskup zrobił swoim ziomkom propozycyę, czyby teraz, w ciągu podróży, nie chcieli słuchać wykładów katechizmu, na co większa część z nich z chęcią się zgodziła. Za pozwoleniem kapitana okrętu, człowieka bardzo zacnego i prawego katolika, wyznaczył zatem z naszego grona sześciu kleryków i tyleż zakonnic, którzy odtąd codziennie gromadzili młodzież, a także starszych, w pewnem, od samegoż komendanta statku wyznaczonem miejscu, aby ich przysposobić do przyjęcia Sakramentów św., których Biskup udzielić im przyobiecał jeszcze przed rozestaniem się z nimi.

Zetknięcie się to z tylu ludźmi, kompletnie ciemnymi w rzeczach Wiary i dobrych obyczajów, wzbudziło i we mnie różne smutne myśli. My wyruszamy oto w daleki świat, aby otworzyć oczy na światło prawdziwej Wiary dzikim szczepom, które jeszcze w „ciemnościach i w cieniu śmierci siedzą," a tu w Europie, tuż obok nas, żyje tylu chrześcijan, nie różniących się — co się tyczy znajomości, a raczej nieznajomości, prawd i zasad naszej św. Wiary — od pogan, którym ją idziemy głosić. Jakżeż słusznym i prawdziwym był ów okrzyk, pełen zgrozy, który się wydzierał z piersi gorliwych kapłanów włoskich, jeszcze za czasów św. Filipa Nereusza: *habemus Indos in Italia*! (= Indyan mamy także we Włoszech!). Teraz uwierzyłem, co nam prawie co rok powtarzali misyonarze nasi, gdy na kilka tygodni do nas z Ameryki przybywali po to, by zabrać ze sobą świeże posiłki: zobaczycie, że przyjdzie czas, kiedy nawróceni Indyanie z Ameryki przybywać zaczną do starego świata, nawracać europejskich pogan. To zaś, co napotkaliśmy na naszym statku, zapełnionym wychodźcami włoskimi, z pewnością napotkać można na tylu innych okrętach, które rok w rok z kraju ojczystego unoszą ofiary własnych złudzeń i płonnych nadziei do nowego świata, gdzie nędza moralna i materyalna dziesiątkuje ich bez litości.

Pod wrażeniem takich i tym podobnych myśli postępowałem zwolna obok X. Biskupa, który obszedłszy cały pokład 3ej klasy i zbliżywszy się do kajuty kapitana, wstąpił do niego, celem porozumienia się co do udzielania katechizmu młodym i starym wychodźcom, o czem mówiłem już powyżej.

Korzystając z chwilowej jego nieobecności, wszedłem na galeryą, znajdującą się nad mieszkaniem kapitana, gdzie sternik uważnie

kierował statkiem, by go utrzymać na linii, jaką mu wskazywał kompas, z którego nie spuszczał oka. Po zasiągnięciu od niego niektórych informacyi, tyczących się używania kompasu w podróży morskiej i t. p., oraz podziękowawszy mu za grzeczną gotowość, z jaką mi udzielał odpowiedzi na stawione sobie pytania, zeszedłem znowu na dół, gdzie trafiłem komisarza okrętu, który w obecności licznie otaczających go pasażerów, stwierdzał właśnie na podstawie ścisłych dochodzeń, że znajdujemy się tuż pod zwrotnikiem Raka. Podobne badania nautyczno-astronomiczno-geograficzne robiono codziennie dla wygody, a raczej dla zaspokojenia ciekawości podróżnych, bezustannie dowiadujących się, na jakim punkcie kuli ziemskiej się znajdowali; w tym celu codziennie w południe notowano na wywieszonej tablicy numer *południka* i *równoleżnika*, które statek właśnie przebywał (przeciętnie w 24reeh godzinach upływaliśmy 7 stopni geogr.).

Tymczasem X. Biskup, załatwiwszy u kapitana sprawę katechizacyi pasażerów 3iej klasy, wyszedł od niego ucieszony, że z największą chęcią przystał na uczynioną sobie propozycyą. Może niejednemu dziwnem zdawaćby się mogło, że X. Biskup, mający przecież wcale znaczną władzę w sprawach duchownych, prosił o pozwolenie udzielania katechizmu człowieka świeckiego. Przyczyna tego jasna: władza kapitana na okręcie jest nieograniczoną i on za wszystko odpowiada; dlatego słuszna, by wiedział o każdej, choćby najdrobniejszej rzeczy, jaka zaszła lub ma zajść w małem jego państwie okrętowem, a że przytem obowiązkiem jego jest dbać o należyty porządek i wygodę podróżnych, zatem nie mógłby zezwolić na coś, coby się sprzeciwiało woli ogółu. W wypadku, który opowiadam, usłyszawszy, że udzielanie katechizmu odbywać się miało z wolą pasażerów, tem chętniej zgodził się na to. Odtąd więc codziennie sześciu kleryków i tyleż zakonnic poświęcało dwie godziny na naukę, na pozór skromną, w oczach świata mało znaczącą, a w rzeczywistości pierwszorzędnej wagi i najwięcej może zasług u Pana Boga przysparzającą, i tak już niejako w ciągu podróży zaczęli się wprawiać do szczytnego zawodu misyonarskiego.

Piękna pogoda, jaka nam stale sprzyja począwszy od wysp *kanaryjskich*, zdaje się chcieć nam wynagrodzić wszystko to, cośmy wycierpieli w pierwszych dniach naszej podróży; działanie jej jest kojące i przyczynia się znakomicie do uciszenia rozstrojonych nerwów i przywrócenia swobody umysłom naszym, tak bardzo do niedawna znużonym i skołatanym.

Teraz pokład nasz, z przyczyny upału, który z każdym przebytym *równoleżnikiem*, w miarę zbliżania się ku *równikowi*, znacznie się powiększał, został pokryty grubem płótnem dla dania cienia. Wogóle zaś zupełnie odmienny przedstawiał obraz życia od dni poprzednich: obecnie rozlegały się tu wesołe pogadanki, i to prawie we wszystkich głównych językach europejskich, nie wyjmując naszego, polskiego; zaczęto wynajdywać przeróżne gry i zabawy; po raz pierwszy poczęto korzystać z dość obszernej biblioteki, znajdującej się w sali jadalnej i oddanej do rozporządzenia podróżnych, — wszystko to zaś było skutkiem pięknej pogody, spokojnego morza i równego biegu, lekko tylko kołyszącej się naszej *Vittorii*.

Na zakończenie tego pięknego dnia, w którym tak szczęśliwie udało nam się obchodzić uroczystość najpiękniejszej chwały Najświętszej Maryi Panny, jak niemniej celem zostawienia po niej jak najlepszego wrażenia w pamięci i sercu naszych współpodróżnych, daliśmy wieczorem na pokładzie pierwszej i drugiej klasy (który jest wspólny i z łatwością może pomieścić do 300 osób) przedstawienie za pomocą latarni magicznej, jakąśmy byli ze sobą z Włoch zabrali. Przedstawialiśmy obrazy, wzięte z *Nowego Testamentu*, począwszy od Zwiastowania Najśw. Panny i przesunęliśmy kolejno przed oczami widzów główne sceny z życia Przeczystej Dziewicy i Pana i Zbawiciela naszego. Widok tych pięknych, doskonale uwydatnionych i dzięki wybornemu składowi promieni owej latarni magicznej należycie powiększonych obrazów, wywoływał głośny podziw i żywe oklaski do głębi poruszonych widzów. Po obrazach treści religijnej przyszła kolej także na rzeczy świeckie. Dano kilka obrazów humorystycznych, w czasie których zabawnie poruszające się figury dość wesoło usposobiły wszystkich obecnych. Całe przedstawienie zakończyło się odegraniem na fortepianie pieśni „*Wygnaniec*,“ utworu X. Biskupa CAGLIERO.

W ten sposób, przypuszczam, nie bez pozostawienia w sercach naszych współpodróżnych jak najlepszych wrażeń, spędziliśmy ten dzień Pański, przez nas Najśw. Pannie ofiarowany. Ciepłe powietrze, które w kajutach stało się prawie nieznośnem, długo jeszcze zatrzymało nas wszystkich na pokładzie, dla naszej wygody rzęsiście światłem elektrycznem aż do późnej nocy oświetlonym.

11ty grudnia.

Z powodu nieco pomyślniejszych warunków, w jakich podróż nasza obecnie się odbywała (mam tu na myśli oczywiście przedewszystkiem ogólny stan naszego zdrowia), miał, począwszy od dzisiaj, porządek nasz dzienny, którego dotychczas dla burz i ciężkich niedomagań naszych zastosować nie było można, przybrać bieg regularny.

Godzina zatem wstania, tak dzisiaj, jak w dniach następnych, wyznaczoną była na 5tą; w półgodziny później zbieraliśmy się w sali jadalnej, gdzie przy ustawionym na stole ołtarzyku podróżnym X. Biskup w obecności licznego grona osób świeckich odprawiał Mszę św., po której nasz korpus salezyański czynił zadosyć innym ćwiczeniom duchownym, regułą Zgromadzenia naszego przepisanym.

Dzisiaj, podczas gdy X. Biskup udzielał nam Komunii św., pewien otyły jegomość, protestant, ośmielił się przez okno urągać nam, szydercze dorzucając uwagi; tymczasem, ani się spostrzegł, gdy sam kapitan uchwycił go dość energicznie za kołnierz i szorstkiemi słowy wezwał do natychmiastowego oddalenia się. Ten rodzaj *argumentum ad hominem* poskutkował i odtąd nie mieliśmy już więcej żadnych z jego strony nieprzyjemności.

Pogoda była tego dnia piękna — na horyzoncie, z rana, zaledwie kilka lekkich obłoczków od strony wschodniej spostrzedz było można zwolna w kierunku naszego statku się posuwających, zresztą, jak oko sięgało, widziało się tylko niebo i wodę. Żeglarze nasi, korzystając z pomyślnego powiewu wiatru, rozpięli po raz pierwszy żagle, które powiększyły znacznie i tak już dość szybki bieg okrętu.

Około południa widzieliśmy po raz pierwszy kilka ryb latających, długości prawie pół metra; ich lot był jednakże krótki, wynosił najwyżej sto metrów, i to prawie tuż przy powierzchni morza, poczem zapadały napowrót do wody. Niektórzy podróżni, którzy już mieli sposobność skosztować ich mięso, twierdzili, że jest niesmacznem.

Kanarki, zabrane z Las Palmas, miłem swem świegotaniem nadzwyczaj nam uprzyjemniały podróż, która łatwo mogłaby się stać monotonną wpośród tej puszczy morskiej. Słońce znacznie już powiększyło półkole swego biegu na firmamencie od czasu, w jakim je widywaliśmy jeszcze przed tygodniem w kraju, a gorąco tem silniej dawało się we znaki. Ubrania nasze, które w Europie były nam niezbędne, dzisiaj już innemi, zupełnie lekkiemi, zastąpione być musiały.

Do stołu (bo i o tym wspomnieć mi wypada) uczęszczano w tych dniach regularnie. Wieczór dnia dzisiejszego, nadzwyczaj piękny i pogodny, dostarczył nam nowego zjawiska: oto morze zajaśniało naraz światłem fosforycznem, podobnem do tego, jakie w ciemności wywołuje tarcie zapałek; szczególnie za płynącym okrętem ciągła się smuga podobnego światła, a fale morskie lekkim poruszane wietrzykiem, zdawały się płonąć, przedstawiając widok gorejących bruzd i zagonów.

Iskrzenie się to wody morskiej (czyli *fosforescencya*) przy tarciu o ściany i koła statków, w bruzdach, utworzonych przez ich posuwanie się, a niekiedy bez wyraźnej pobudki zewnętrznej, ma swą przyczynę w niezliczonem mnóstwie zwierzątek, zwykle mikroskopijnie małych (zwanych *meduzami*, *beroe*'ami i t. p.), własną obdarzonych *fosforescencyą*, jak np. nasze *świętojańskie robaczki*.

Zjawisko to zauważyć można po wszystkich morzach, w różnych położonych strefach, nawet w morzu *Lodowatem*, jest ono jednakże tylko cieniem, co się tyczy siły i stopnia blasku, w porównaniu do iskrzenia się wód *tropikalnych* i zmniejsza się, w miarę posuwania się po szerokości jeograficznej od *równika* ku obydwom *biegunom*.

Oprócz tego iskrzenia się wody morskiej na jej powierzchni, widzieć można nieraz nocami w morzu, w głębokości jednego metra i więcej, mniej lub więcej obszerne warstwy blado-świetlane, jakoby mleczne. Pochodzą one ze starcia się dwóch, w przeciwnych kierunkach płynących prądów, co zwłaszcza często widzieć można w morzach międzyzwrotnikowych, gdzie podobnych krzyżujących się „*rzek o brzegach mokrych*“ bywa najwięcej.

Mając dotąd tylko swobodny pogląd na morze, które nasz okręt zostawiał poza sobą, a to z powodu, iż pokład klasy 1ej i 2ej znajdował się w tylnej jego części, postanowiłem dzisiejszego wieczora cieszyć się widokiem niezmierzonych przestrzeni, które roztaczały się przed nami. W tym celu około godziny 10tej wieczorem, poprosiwszy jednego z mych towarzyszów, by udał się wraz zemną na pokład 3ej klasy, więcej na przedzie się znajdującej, udaliśmy się tamże i nie zadawalniając się pokładem, wdrapaliśmy się, za pozwoleniem strażnika, na dość wysoką, dwa metry średnicy mającą galeryą, gdzie właśnie ów strażnik czuwał, pilnując, by pod osłoną nocy okręt nasz nie zderzył się z innym jakim, w przeciwnym kierunku płynącym, statkiem.

Znajdowaliśmy się tuż na kraju przedniej

części okrętu. Noc pogodna, oświecona migocącem światłem milionów gwiazd, jakiemi niebo całe było zasiane, — ogromny obszar wód, karbowany poważnie toczącemi się i gorejącemi falami, — widok gdzieniegdzie tworzącej się srebrnego koloru piany morskiej — wietrzyk łagodny, który szczególniej w tej chwili był nam pożądanym, — uroczysta cisza, panująca we wszechstworzu, — wszystko to, w jeden ujęte obraz, budziło jakiś lęk w duszy, a jednak przykuwało do siebie oko, nie mogące nasycić się tak majestatycznym widokiem, budziło zwłaszcza w sercu poczucie własnej niemocy, a raczej nicestwa, wobec Tego, który jednem słowem wszechmocnem wszystko to z niczego był stworzył. Na cichej rozmowie i podziwianiu tej wspaniałej przyrody, pod cieniem spokojnej nocy, ubiegł nam czas tak szybko, że ani się spostrzegliśmy, jak późna noc nas zaskoczyła. Wybiła godzina 12sta a i my czuliśmy już potrzebę spoczynku.

12ty grudnia.

Powietrze sprzyja i dzisiaj naszej żegludze; żagle, rozpięte wczoraj, oddają nam niepomierną przysługę, przyspieszając bieg naszej *Vittorii.* Zmiana temperatury, jakiej podlegliśmy w tych kilku dniach, od czasu opuszczenia Europy, silnie daje nam się we znaki, to też łaźnie, w których podróżni szukają orzeźwienia zemdlałych od gorąca członków, bezustannie są zajęte. Dla odświeżenia nieco powietrza, zlewają codziennie wodą obficie podłogi wszystkich kurytarzy i kajut, nawet pokład i chodniki, które się znajdują na zewnątrz. By zaś z przyczyny gorąca nie wywiązała się jakaś choroba, podwojono starania około zachowania porządku i czystości we wszystkich zakątkach statku. Słońce tak żywe promienie rzuca na powierzchnią wody, że na widok szklących się fal, oczy, męczone odbijającem się od nich światłem, mimowolnie zasuwają się powiekami.

W ciągu dnia napotkaliśmy znowu kilka razy gromady małych, skrzydlatych i lśniących się ryb, które uniósłszy się kilkanaście, lub kilkadziesiąt metrów w powietrze, zanurzały się wszystkie razem napowrót we wodzie. Także stado jaskółek już od samego rana ciągnie za nami; ptaszyny te różnią się jednakowoż od naszych, tak silniejszą budową, zwłaszcza skrzydłami, jak i nieco jaśniejszym kolorem. Opatrzność widocznie nie zapomniała i na tej niezmierzonej wodnej puszczy o człowieku, nasuwając mu od czasu do czasu przed oczy przedmioty, na których oko jego spocząć, umysł zaś, długą i monotonną podróżą otrętwiały, nimi rozerwać może. Towarzyszenie nam tych ptaków tłómaczyliśmy sobie bliskością lądu; istotnie znajdowaliśmy się kilkadziesiąt zaledwie kilometrów od wysp św. Antoniego i św. Wincentego.

Około południa doścignęliśmy duży statek angielski, o samych tylko żaglach, który w tym samym, co i my, biegł kierunku, lecz w godzinę później, zostawszy zupełnie za nami, znikł nam oczu. O, z jakąż chciwością oko i umysł rzuca się na przedmiot, mogący im dostarczyć obrazu, choćby tylko cokolwiek odmiennego od tego, który już przez tak długi czas jednostajnym swoim męczył je wyglądem! W położeniu, w jakiem się obecnie znajdowaliśmy, widok najzwyklejszego, nieledwie staroświeckiego, żaglowca zwrócił na siebie uwagę wszystkich pasażerów i wywołał całą załogę *Vittorii* ze wszystkich kajut i zakątków na pokład; z żalem żegnaliśmy szczyty wysokich masztów, niknących nam zwolna na widnokręgu.

13ty grudnia.

Powietrze zmienne — niebo zachmurzone — gęsta powłoka chmur tamowała łączność atmosfery górnej z niższą, która z tego powodu, ograniczona na szczupłe rozmiary, naciskana nisko bieżącymi obłokami, stała się duszną i prawie oddech odejmującą. Pewien rodzaj znużenia, który gwałtem kleił do snu powieki, malował się widocznie na twarzach podróżnych. Wiatr, niekorzystny dla naszej żeglugi, pędził na nas bałwany z boku; zwinięto żagle i okręt poruszany był samą tylko parą.

Z tego stanu przymusowo-sennego ocucił nas nieco następujący, ważny nadzwyczaj (jeżeli się weźmie na uwagę warunki, w jakich się znajdowaliśmy, tj. brak wszelkiego punktu porównania, czyli *tertium comparationis*, jak to się mówi), wypadek: oto jedna z *ryb latających*, około pół metra długa, uniósłszy się ponad powierzchnią wody i zbliżywszy się za blisko do statku, prądem powietrza porwana, zamiast do morza, spadła na nasz pokład. To była owa *atrakcya*, która najbardziej nawet ospałych postawiła na nogach. W codziennem naszem, swą szarą jednostajnością nużącem życiu, był to istny wypadek dnia. Jego nadzwyczajność, jak niemniej ciekawość obejrzenia tej bądź co bądź niezwykłej dla nas istoty, zbudziły nas z otrętwienia i zgromadziły dokoła rzucającego się po pokładzie skrzydlatego stworzenia, które niebawem wrzuciliśmy do wody.

W ciągu dnia wyprzedziliśmy znowu trzy statki żaglowe, podobnież jak my, do Ameryki południowej zdążające, towarami obładowane; jeden z nich, wiadomym żeglarzom znakiem, danym za pomocą flagi, prosił naszego kapitana, ażeby po szczęśliwem przybiciu do amerykańskiego lądu (co z naszej strony o kilkanaście dni prędzej nastąpić miało, gdyż statki żaglowe czasem całymi tygodniami błądzą po morzu, gnane w różnych kierunkach wichrami i burzą) ogłosił w którem czasopiśmie amerykańskiem, że się z nim był na morzu spotkał. Czyni się to dlatego, by przedsiębiorcę, lub właściciela danego okrętu, od którego losów nieraz całe ich mienie zależy, upewnić o szczęśliwej tegoż podróży.

Wieczorem tegosamego dnia zaskoczyła nas burza, w czasie której ulewny deszcz zmusił nas do opuszczenia pokładu i schronienia się do kajut, gdzie duszne powietrze, połączone z nieznośnem gorącem, wyciskając nam grube krople potu z ciała, kazało nam mniemać, że znajdujemy się w łaźni. Zawierucha ta jednakże, rozpędzona niezadługo silnym podmuchem wiatru, trwała zaledwie kilkanaście minut, poczem wszyscy, nie zważając na obficie spadające jeszcze krople deszczu, wyszli na pokład. Z powodu niestałej pogody, lekkie objawy choroby morskiej znowu się u wielu okazały: znowu zatem zaczęto potrawy wynosić na pokład, gdzie na świeżem powietrzu łatwiej i bez wypadków dawały się spożyć.

14ty grudnia.

Silny nader wiatr, który z rana szalonym pędem gnał przed sobą gęste kłęby obłoków, dawał się również naszej żegludze we znaki, a to tamując szybkość zwykłego biegu *Vittorii*; ku południowi jednak osłabł znacznie, tak że okręt, bez żadnego kołysania się, mógł w zwykłem swojem *tempo* postępować dalej. Wietrzyk, bacząc na stopień szerokości jeograficznej, w jakiej się obecnie znajdowaliśmy, był nam wogóle bardzo pożądany, taki jednakże, któryby nieco ożywił zemdlałe nasze od gorąca członki, — nie zaś suchy a duszny płomień, który już i tak obfite krople potu, lejące się nam z czoła, warem swoim pomnażał. W takim stanie rzeczy nie dziw, że i czytanie książek, do czego w ostatnich dniach wszyscy prawie podróżni ochoczo się byli zabrali, niezadługo całkiem ustało, zniedołężniały bowiem umysł już nie zdołał postępować razem z oczami i przyjmować wrażenia, zawarte w znaczeniu czytanych wyrazów; daremnie oczy przebiegały całe stronnice: czytający najmniejszego nie odnosił stąd pożytku; nawet ręce przystąpiły do ogólnego spisku członków i odmawiały posłuszeństwa, co chwilę upuszczając powierzony sobie ciężar na posadzkę.

Nareszcie, ku wielkiej naszej radości, zjawiło się na nudnym widnokręgu jakieś *tertium comparationis* w postaci dwóch okrętów, płynących z Ameryki do Europy, lecz niedługo cieszyliśmy się ich widokiem: spotkawszy się, pozdrowiwszy nawzajem powiewaniem flag i skrzyżowawszy bieg, oddaliliśmy się szybko od siebie i po pół godziny zaczęły już nam znikać z oczu, najprzód spód okrętów, a raczej ich tułów, który jakoby stopniowo zanurzał się we wodzie, po pewnym czasie już tylko szczyty masztów, oświecone promieniami słońca, dawały się widzieć, aż nakoniec obadwa statki znikły zupełnie z horyzontu, pochłonięte niejako przez fale.

Odbywa razem z nami podróż pewien fotograf, który dotychczas zdejmował, ile razy tylko się do tego sposobność nadarzyła, różne widoki i piękniejsze krajobrazy, zwłaszcza gdyśmy płynęli wzdłuż brzegu stałego lądu, albo jakiej wysepki. Dzisiaj prosił X. Biskupa, by mu wolno było odfotografować misyonarzy. X. Biskup nie miał nic przeciwko temu, owszem, na prośbę fotografa nie pogardził zająć miejsca w naszem gronie.

Wspomnieć mi tu jeszcze wypada o pewnem niemiłem dzisiejszem zajściu. Już od samego początku naszej podróży staliśmy się solą w oku gronu młodzików Włochów, którzy od czasu do czasu pozwalali sobie żarcików, skierowanych przeciw zakonnicom i nam Salezyanom; objawy te nieprzychylności dla nas wzrastały z dniem każdym do tego stopnia, że coraz otwarciej uwzięli się nas prześladować. Wprawdzie byliśmy głuchymi na wybryki owych młokosów, lecz ponieważ zaczepki stawały się coraz zuchwalszemi i dzisiaj nawet przy stole pozwolono sobie tak powszechnego we Włoszech na osoby duchowne wołania: *qua-a-a — qua-a-a*, naśladując tem głos kruka, którego w swej złośliwości uważają jako symbol w czarną szatę ubranego kapłana, zwróciliśmy więc na te docinki uwagę kapitana, który natychmiast energicznie wystąpił przeciw prześladowcom, grożąc im nałożeniem kajdan i uwięzieniem aż do dnia wylądowania, jeżeli nie zaprzestaną nam ubliżać. Groźba odniosła pożądany skutek i odtąd mieliśmy już spokój, jakkolwiek nie obyło się bez pokątnych między nimi szemrań. Co się zaś tyczy uwięzienia,

to kapitanowi statku zupełne pod tym względem przysługuje nad pasażerami prawo. Dotąd uwięziono już dwoje ludzi z 3ej klasy, którzy grając dla zabicia czasu w karty, pokłócili się ze sobą i zabrali, na włoski sposób, do nożów.

Dzisiejszy dzień miał nareszcie zaspokoić niecierpliwe oczekiwania nasze, już od dni kilku, i dać nam sposobność stać się uczestnikami rzadkiej dla zwykłych śmiertelników a uroczystej chwili przejazdu przez *równik*, linii, odgraniczającej półkulę ziemską północną od południowej. Komisarz okrętu oznajmił nam, że na linii równikowej staniemy późnym wieczorem. Oczekując tej chwili, nikt z całej załogi *Vittorii* nie zeszedł tego wieczora z pokładu i wśród żartów, jak gdyby równik, rozcinający na globusach i atlantach jeograficznych czarną kreską kulę ziemską na dwie połowy, był także z natury jakimś znakiem widzialnym na jej powierzchni oznaczony, spędzano wesoło czas wieczorny, cechujący się tym razem nadzwyczajnym spokojem wszechstworza. Lekki, jak na strefę międzyzwrotnikową, dość chłodny wietrzyk południowy, działał na nas, zemdlałych od upału dnia, orzeźwiająco. Blade i słabe promienie pierwszej kwadry księżyca, przeglądającego się w modrych falach lekko poruszającej się powierzchni Oceanu, tworzyło na wodzie długą, srebrną wstęgę, którą na razie, w braku innego jakiego znaku na powierzchni morza, przyjęto jako linię równikową, gdy jednakże owa wstęga przez cały wieczór wiernie towarzyszyła biegowi naszego statku, wtenczas nawet najweselej usposobieni faceci musieli przyznać, że linia podobna w żaden sposób nie mogła odpowiadać kołu, opasującemu zwykle (na atlantach i globusach) kulę ziemską w sposób stały i nieruchomy.

Nie znalazłszy więc żadnego śladu równika na powierzchni morza, różni żartownisie kierowali badawcze spojrzenia na firmament niebieski, udając, że szukają pilnie tego, co żadnej w naturze nie miało rzeczywistości. Wtem głośne uderzenie dzwonka dało znak, że podług ścisłego obrachunku astronomiczno-jeograficznego, punkt szerokości jeograficznej, na którym w tej właśnie chwili się znajdowaliśmy, był zarazem punktem linii równikowej. W jednej chwili wszczął się jakiś zamęt, jakiś niezwykły ruch na pokładzie. Rozpoczęły się gonitwy, rozległy się okrzyki przestrachu, to znowu głośne śmiechy. Choć pora była spóźniona, obydwa pokłady wrzały życiem. Nawet tacy, których dotąd widywaliśmy wylegujących gnuśnie całemi godzinami na szezlongach, robili teraz susy, jak zające, biegając tu i tam po pokładzie i uciekając przed ścigającymi ich współpasażerami. Co było powodem tych gonitw i tego zamieszania? Oto dawano chrzest morski wszystkim tym podróżnym, którzy po raz pierwszy przebywali *równik* i jakoby rodzili się na nowo, wstępując do drugiej półkuli, czyli, jak się zwykle mówi, do Nowego Świata. Czyniono to zaś w sposób, przypominający żywo *dyngus* po naszych wioskach polskich w drugie święto wielkanocne, czyli oblewano się bez ceremonii nawzajem wodą, czerpaną naczyniami, jakie komu wpadły w ręce. Kto nie życzył sobie tego *chrztu morskiego*, chronił się spiesznie do kajuty, co pierwsi uczyniliśmy my Salezyanie, a za nami reszta towarzystwa. Plac boju pozostał się przy majtkach, dla których chwila przejazdu przez linię równikową i cały następny dzień stanowi jakoby święto, który oni obchodzą na sposób karnawału.

15go grudnia.

Ponieważ kilka poprzedzających nocy, spędzonych w kajutach, nietylko niewpłynęło na pokrzepienie naszych sił fizycznych, ale owszem, z powodu nieznośnego gorąca i wywiązujących się stąd silnych potów, rano każdy tak się czuł osłabionym, że zaledwie trzymać się mógł na nogach, — kiedy się już *dyngus*, czy ceremonia *chrztu morskiego*, ukończyła i nastała cisza na okręcie, — przepędziło wielu z nas dzisiejszą noc na pokładzie, drzemiąc na krzesłach, jakie większa część podróżnych zabrała była ze sobą przy wsiadaniu na statek. My również mieliśmy ich kilka, ofiarowanych X. Biskupowi w Barcelonie (w Hiszpanii).

Wyznać muszę, że już od kilku dni nie doznaliśmy tak błogich skutków snu, jak właśnie dzisiajszej nocy, pierwszej, spędzonej na drugiej półkuli. Dodać należy, że o ile upały na równiku dają się więcej uczuwać od gorąca, jakie zwykle latem miewamy w naszej Polsce, o tyle noce są chłodniejsze od naszych, użycie jednakże ciepłego paletota wystarczy zupełnie, by się uchronić od nabawienia się jakiej choroby z przyczyny nagłej zmiany temperatury.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).





STATUA **Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Chrześcijan,**

przeznaczona dla nowego kościoła salezyańskiego

w NOVARZE.



ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Kto ufa w Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, nie będzie zawstydzon. — Drugi rok już upłynął, odkąd byłem uczniem jednej i tej samej klasy gimnazyalnej. Pomimo usilnych starań z mej strony, okazałem się uczniem prawie całkiem niezdatnym i niepodobieństwem mi było postępować razem z drugimi w nauce. Ani jednego egzaminu dobrze nie zdałem.

Ciągłem niepowodzeniem przygnębiony, pogrążałem się w smutnych myślach, nie wiedząc, do czego mnie Pan Bóg powołuje. Byłem przekonania, że dalszej nauce należy mi położyć koniec.

W tej wielkiej mojej nędzy, całą swą ufność położyłem w pomocy Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. Zacząłem odprawiać nowennę i błagać Ją ze łzami o ratunek. I rzeczywiście nie zostałem zawiedziony, bo już niezadługo, po bardzo krótkiem przysposobieniu się, zdałem egzamin 2gi bardzo pomyślnie, co mi ułatwiło postąpienie do klasy wyższej.

Wszystko to winienem jedynie wstawieniu się i pomocy Królowej nieba i ziemi, za co pełen wdzięczności składam Jej niniejszem serdeczne dziękczynienie.

By wywiązać się z obietnicy, uczynionej w modlitwie, proszę czcigodnego Ojca Dobrodzieja, by raczył to moje skromne podziękowanie w **„Wiadomościach salezyańskich,“** umieścić.

Lombriasco (Włochy).

Jan Suchos.

*
* *

Pomoc niebieskiej Lekarki. — Już od roku czułam w ustach ustawiczne bóle; w tych dniach także twarz bardzo mi opuchła, a na domiar złego utworzył mi się wrzód w ustach. Przymuszona wezwać pomocy lekarskiej, miałam już posłać po doktora, kiedy mi przyszło na myśl, że jeżeli Matka Najświętsza Wspomożycielka mi dopomoże, to pieniądze, które miałam dać doktorowi, poszlę dla Niej na ofiarę. Zaledwie minęło pół godziny, jak powzięłam to postanowienie, gdy wrzód w ustach sam pękł i ból, który przedtem czułam, ustał.

Dziękuję pokornie Najświętszej Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za tę łaskę i proszę pokornie Najświętszą Panienkę o zdrowie i życie dla synaczka mojego i dla mnie niegodnej grzesznicy.

Proszę Wielebnego Ojca o modlitwę za mną i za dziecięciem mojem, ażeby mi Najśw. Panienka Wspomożenia u Pana Boga tę łaskę uprosić raczyła, iżbym synka mojego sobie wychować mogła i aby urósł Panu Bogu na chwałę, Najświętszej Pannie Wspomożycielce na cześć a nam rodzicom na pociechę.

Poznań.

T. L.

*
* *

Dzięki niech będą Najświętszej Wspomożycielce! — Serdecznie dziękuję Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za uzdrowienie mego ciężko chorującego syna Stefana, który był tak niebezpiecznie chory, że mu już żaden lekarz zaradzić, ani żadne lekarstwo pomódz nie mogło, a jednak po odprawieniu nowenny do Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki jest teraz całkiem zdrowy.

Kozłowa góra (Górny Śląsk).

Floryan Hójka.

*
* *

„Auxilium Christianorum, ora pro nobis!“ — Dziękując serdecznie Matce Najświętszej, Wspomożenia Wiernych, za wysłuchaną prośbę o uzdrowienie matki mej i córki wywiązuję się z danej obietnicy i na cele salezyańskie posyłam przekazem 5 złr.

Polecam się modlitwie Ojców.

Babin (Galicya).

M. R.

*
* *

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najśw. Marya Panna, Wspomożenie Wiernych! — Po odprawieniu Mszy św. do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, zostałam uwolnioną od dotkliwych cierpień. Za to

z całego serca dzięki składam Lekarce niebieskiej i sławę Jej pragnę we **„Wiadomościach salezyańskich"** ogłosić, aby każdy pokładał nieograniczoną ufność w tej niebieskiej Opiekunce chorych.

Bytków (Górny Śląsk).

Antonina Locher.

***

Dziękczynienie z nad brzegów Bałtyku. — Osoba, za którą w Oratoryum turyńskiem odprawiała się nowenna, cieszy się teraz dobrem zdrowiem i z całego serca zanosi dziękczynienie Najśw. Wspomożycielce za otrzymaną łaskę.

Kussfeld (półwysep Hela).

Marcyanna Budzisz.

***

Skutek nowenny. — Serdecznie dziękuję Najświętszej Wspomożycielce Wiernych za uzdrowienie owej niewiasty, za którą w Oratoryum turyńskiem nowennę odprawiano, bo jej się pięknie goi ból, na który cierpiała. Lekarze mówią, iż jej jest co dzień lepiej, jakoż w istocie powróciła już z Bogucic do domu. Nasz czcigodny X. Dobrodziej już ją był wyspowiadał, tak jakby miała iść na śmierć, i mówił, że teraz będzie albo życie albo śmierć. Ona rzewnie płakała i mówiła: „*niczego mi nie żal, tylko trojga dzieci.*" Skorom się dowiedziała, że już do klasztornego szpitala poszła, tom zaraz pisała do Wielebnego Ojca prośbę o *nowennę* dziatek z Oratoryum turyńskiego, mając wielką nadzieję, że ona jeszcze powróci, co też wkrótce nastąpiło. Jej mąż, dawniej nałogowy pijak, nawrócił się i jest teraz o wiele lepszym i przykładniejszym ojcem rodziny. Msze św., które niniejszem zamawiam, mają być odprawione: jedna do Najsłodszego Serca Pana Jezusa, a druga do Najśw. Wspomożycielki Wiernych, na podziękowanie i proszę to na chwałę Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, we **„Wiadomościach salezyańskich"** umieścić.

Opole (Górny Śląsk).

Katarzyna Schneider.

***

Za otrzymane łaski składają dalej Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce publiczne dziękczynienie:

Franciszek Krupop wraz z żoną z Nowej wsi królewskiej, pod Opolem (Górny Śląsk).



Z MISYI

La Marsa (rejencya Tunis, Afryka).

Czcigodny X. Redaktorze,

Bardzo mnie ucieszył list, który odebrałem od X. Dobrodzieja i kochanego Janka Sikory. Przeczytawszy go postanowiłem zaraz, a przynajmniej ile możności jak najprędzej, parę słów napisać. Nie mogąc jednakże dla różnych zajęć znaleść odpowiedniego na to czasu, odwlokłem oto korespondencyą aż do teraz.

Przeszłego roku *) pisałem X. Dobrodziejowi o Arabach i niektórych ich zwyczajach, a także cokolwiek o X. Arcybiskupa i naszej własności (*proprietà*), która prawie cała składa się z ogrodu, pełnego drzew owocowych, i winnicy. Także tym razem nadarza mi się sposobność coś o niej donieść, a mianowicie o naszej ostatniej wojnie z szarańczą.

Na początku miesiąca czerwca b. r. nawiedziła nas tutaj ciężka plaga, jedna niestety z najzwyklejszych w tych krainach: nadleciała oto od strony Sahary ogromna masa szarańczy. Żarłoczny ten owad nadlatywał w postaci gęstych chmur, poczem spadał na ziemię tak, jak u nas w Polsce płatki śniegu porą zimową. Jeden niezmierny rój padł między innemi na winnicę X. Arcybiskupa kartagińskiego i jego sufragana, jaką posiadają tuż obok nas, a to właśnie w czasie, kiedy winograd był już prawie okwitł.

Cóż było robić na taką masę tych żarłocznych, wszystką roślinność tępiących owadów, w swoim rodzaju o wiele żarłoczniejszych od wilków i szakali? Jeżeli im się nie przeszkadza siadać na latoroślach, wtenczas zatrzymują się we winnicy przez jakich parę dni, niosą jajka w ogromnej ilości, zagrzebują je w ziemi, a zagrzebawszy odlatują, kiedy się zerwie pomyślny dla nich wiatr, i odlatują na inne jakie miejsce.

Stara szarańcza nie robi (możnaby prawie powiedzieć) wielkiej szkody. Dopiero jak się wykłują z jajek młode, wtedy w paru dniach nie zostawiają z liści ani śladu. Chociaż ulęgną się tak małe, jak mrówki, dochodzą niezadługo, dzięki swej niesłychanej żarłoczności, do wielkości naszych koników polnych, jakich u nas latem pełno na łąkach, w zbożu, po rowach, w zagajeniach i t. d. Skrzydła mają koloru ciemnego, nóżki żółte (nie tak, jak nasze); siła wzroku stosunkowo u nich dobra: na trzy metry i dalej widzą

*) Zob. *Wiadomości salezyańskie* nr. 4.

zbliżającego się człowieka, a wtedy ulatują cokolwiek w górę, poczem na nowo spadają na ziemię.

Aby szarańczy przeszkodzić w niszczeniu roślinności i niesieniu jajek, biorą się nasi Arabowie do tego w następujący sposób.

Biorą blaszane, wewnątrz próżne, pudła (np. od petroleum, lub inne tego rodzaju), przywięzują je sobie do brzucha, następnie biorą dwie pałki i biją w pudło jak w bęben, krzycząc przytem ze wszystkich sił, jak gdyby się cała wieś paliła. Do takiego bębnienia najęliśmy 200 Arabów, do nich przyłączyliśmy wszystkich naszych chłopców, z nimi złączyliśmy się także my, i tak oto wspólnemi siłami staraliśmy się najazd szarańczy od winnicy odeprzeć.

Niech sobie X. Dobrodziej wyobrazi, jaki piekielny hałas wszczął się we winnicy. Za wrzeszczenie i bębnienie na starych blaszanych pudłach płaciliśmy Arabom po 1 franku dziennie, ażeby im zaś od czasu do czasu odświeżyć gardła, zdaliśmy na ich łaskę i niełaskę drzewa owocowe z naszego i biskupiego ogrodu. To też zjedli nam wszystkie figi i migdały, a mimo to, w przeciągu niewielu dni wszyscy ochrypli i wydawali ze siebie głosy, jak rozbite garnki, czem oczywiście wszystko inne odstraszyć mogli, tylko nie szarańczę.

Pomimo wszelkich naszych wysiłków i zabiegów, nie dała się ta ostatnia z winnicy wyparować i cała nasza praca była na nic. Szarańcza nie ustąpiła ani na krok. Ile razy spostrzegła zbliżających się najemników naszych, podlatywała w górę; po ich przejściu zapadała na nowo na to same miejsce, z którego się co dopiero była uniosła.

Wreszcie nie wiedzieliśmy już, co sobie z nią począć, ani też, jakich środków się chwycić, by ją wytępić, lub przynajmniej odpędzić. Niektórzy z nas już ręce opuścili, dowodząc, że to czas stracony, a zwłaszcza pieniądze, wydane na Arabów. X. Arcybiskup jednak nie tracił nadziei i kazał Arabom (mahometanom) nawet w niedzielę szarańczę tratować i odstraszać. Lecz wszystkie zabiegi nie zdały się na nic, owszem, szarańczy tak dalece spodobało się w biskupiej winnicy, że nawet nie chciała sobie odlecieć, gdy zawiał dość silny, dla niej nader pomyślny wietrzyk.

Wtenczas któryś z naszych poddał myśl, że może najlepiejby było zbierać szarańczę wczas rano, kiedy jeszcze jest rosa, a ona nie może skrzydełkami ruszać, ponieważ są zmoczone; dosyć łatwo zatem dałaby się wyłowić i częścią zadeptać, częścią popakować np. do miechów. Następnego więc dnia tak zrobiliśmy i udało się nam rzeczywiście w trzy godziny uzbierać 4 wielkie miechy. Tak czyniono i w następnych dniach, lecz cóż to wszystko znaczyło na tak ogromną masę tych owadów?

Kiedy już wyczerpano wszelkie ludzkie środki, by złemu zaradzić, te zaś okazały się częścią całkiem płonne, częścią niedostateczne, postanowiono chwycić się innego sposobu, tj. wezwać pomocy z niebios.

Jakoż w dzień wielkiego cudotwórcy, św. Antoniego z Padwy, dnia 13go czerwca b. r. odprawił X. dyrektor Josephidi razem z nami i naszymi wychowankami procesyą błagalną po ogrodzie i winnicy. Do niej przyłączył się samże X. Arcybiskup. Procesya odniosła pożądany skutek. W kilka dni potem zawiał pomyślny dla szarańczy wiatr i z tym poszła sobie w dal i ani jedna nie została. Szarańczę, nachwytaną do miechów, zakopaliśmy w ziemi.

Niedosyć na tem. Jak tylko nieszczęsne owady nas opuściły, kazano całą winnicę skopać, aby w ten sposób zniszczyć jajka, jakie tam były zostawiły. I to się częścią udało; lecz w niektórych ogrodu stronach było już zapóźno kopać, bo z jajek już się było wylęgło młode potomstwo. Cóż teraz było począć z tym niepożądanym przychówkiem? Było tego maleństwa w niektórych miejscach tyle, że aż się czerniło, a wszystko drobne, jak mrówki. Kazano tedy porobić miotły z prętów i bić te młode skoczki, przechodząc wzdłuż i wszerz przez całą własność. Nie mogły one ulatywać w górę tak, jak stare, bo jeszcze nie miały skrzydeł, ale zato doskonale umiały skakać. Z dnia na dzień coraz więcej ich się lęgło. W niektórych miejscach winnicy już poczęły źreć liście. Powszechnie twierdzono, że już niema dla winnicy ratunku i że tego roku koniki polne będą miały sute żniwo w naszej własności.

Teraz dopiero przyszła w pomoc Opatrzność Boska i całą plagę na jeden raz zniszczyła.

Niesłychana to rzecz w północnej Afryce, żeby w miesiącu czerwcu deszcz padał. Otoż tego roku, w kilka dni po naszej procesyi błagalnej, spadł nadspodziewanie i to dosyć rzęsisty. Ponieważ w tych stronach grunt po większej części jest piaszczysty, zatem woda zaraz w nim ginie. Tak się stało także tym razem, ale na drugi dzień żar słońca ściął rozmiękłą powierzchnię ziemi, tak że przez kilka dni pokryła się dość twardą skorupą. Dzięki jej wszystka młoda szarańcza, już wylężona, wyginęła doszczętnie, inna zaś na jej miejscu nie powstała.

W taki oto sposób Pan Bóg, za wstawieniem się św. Cudotwórcy, Antoniego z Padwy, uratował nasz ogród i uchronił nas od dotkliwej szkody. Jedyna strata, jaką ponieśliśmy, były 1000 franków, wydanych na robotników, jak niemniej figi i migdały, które w czasie swej pracy zjedli.

Mamy nadzieję, że w tym roku ogólny zbiór z ogrodu i winnicy będzie o wiele obfitszym, anizeli roku zeszłego, wtenczas bowiem słońce wypaliło co najmniej połowę winogradu.

Lecz dosyć już o szarańczy i winnicy. Przejdę do czego innego.

Otrzymałem w tych dniach listy kl. Ludwika **Gorczatego** i Pawła **Janeczki**; do nich dołączył także X. **Barberis** słów kilka. Tak im, jak Wiel. X. Dobrodziejowi dziękuję serdecznie za wszystkie mi udzielone wiadomości.

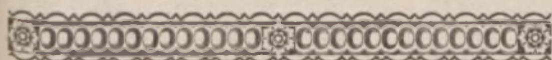
Pisała mi także matka moja, donosząc, że w moich stronach (koło Laurahütte na **Górnym Śląsku**) bardzo chętnie czytają „*Wiadomości*

salezyańskie,“ a w nich zwłaszcza listy naszych polskich misyonarzy. Jak się poczciwe matczysko ucieszyło, kiedy w nr. 4ym naszego pisma napotkało także moje dwa listy, pisane do X. Redaktora!

Co do mnie, jestem zdrów i zawsze wesół, za co niech Panu Bogu będą dzięki.

Kończę moj list i proszę o rychłą odpowiedź, szczególnie o wiadomość, kiedy p. **Kopczyński** otrzyma święcenia kapłańskie.

Ignacy Żurek.



Rozwój i prace Salezyanów.

(*Przegląd powszechny*, listopad 1897).

Dziwne to dzieło ci Salezyanie! I w swem powstaniu, i w swym rozroście nosi ich Zgromadzenie tę cechę charakterystyczną, jaka w historyi znamionowała zawsze instytucye, powołane do życia nie ludzką rachubą i przemysłem, ale wyższem działaniem Opatrzności. Kiedy Don Bosko z 40 centami w kasie rozpoczynał w Turynie budowę wspaniałego kościoła *Wspomożenia Wiernych*, uważano go za człowieka o zwichniętych władzach umysłowych; dziś potężnie rozwijająca się jego rodzina duchowna i doniosłe jej dzieła budzą podziw i szczery zachwyt.

Od stycznia b. r. wychodzi w Turynie pod redakcyą członków Zgromadzenia i w jego własnej drukarni miesięcznik polski p. t. **„Wiadomości salezyańskie,“** przeznaczony w pierwszym rzędzie dla t. zw. **Pomocników salezyańskich** narodowości polskiej, którym się go wysyła bezpłatnie. Miesięczniki tego rodzaju wychodziły już dawniej w języku *włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim* i *niemieckim*. Niektóre artykuły, obchodzące w równym stopniu wszystkich Pomocników salezyańskich bez względu na ich narodowość, umieszczane są we wszystkich wydawnictwach, inne, bardziej specyalne, pisze się dla każdej narodowości z osobna. Polski miesięcznik redagowany jest z wielką szczerością i ciepłem; odsłania on niejeden rys interesujący z życia i prac Zgromadzenia, a nadto zawiera parę wiadomości, szczególnie miłych dla *polskiego* czytelnika.

Zgromadzenie liczy dziś blisko 2,000 członków, posiada około 400 różnorodnych zakładów i wychowuje do 300,000 młodzieży! Don Bosko za życia swego dostarczył Kościołowi przeszło 6,000 kapłanów, wykształcił setki tysięcy młodzieży, założył w Europie i Ameryce około 250 zakładów i stacyi misyjnych, zyskał dla swych dzieł blisko 100,000 **Pomocników,** czyli *zelatorów*, wybudował wiele kościołów i kaplic, a przez swych misyonarzy w Patagonii i Ziemi Ognistej ochrzcił do 20,000 pogan!

Ostatnim nowicyuszem, którego Don Bosko oblókł w duchowną sukienkę, był Polak, jakoby opatrznościową wskazówką licznego udziału naszej narodowości w rozwoju dzieł salezyańskich. Bardzo ciekawe są dzieje żywiołu polskiego w łonie Zgromadzenia. Zrazu wstępuje doń kilkudziesięciu Polaków, tak mało odpowiadających zadaniu i powołaniu, że wnet znikają oni z szeregów salezyańskich, a Przełożeni, w mniemaniu, że to materyał kruchy, nieradzi są nowym z Polski przybyszom. Ofiara życia X. Augusta Czartoryskiego zmienia postać rzeczy, okupuje wiele, uzyskuje więcej. Ze śmiercią szlachetnego młodzieńca z krwi książęcej zaczyna się okres nowy dla polskiej narodowości w salezyańskiej drużynie. Mnożą się powołania, nastaje przypływ tak liczny z przeróżnych dzielnic kraju naszego, iż w sprawozdaniu za r. 1896 X. Michała Rua, następcy X. Bosko, znajdujemy osobne wezwanie do składek i jałmużn, osobne ubolewanie nad brakiem środków, nie dozwalającym uwzględniać wszystkich próśb, nadsyłanych o przyjęcie mianowicie z Polski.

Uwzględniając ów przypływ nieustający polskich kandydatów, Salezyanie otworzyli w **Lombriasco** pod Turynem osobne kolegium dla młodzieży narodowości polskiej. Kolegium to przybrało nazwę św. Joachima na cześć Papieża, nieszczędzącego mu błogosławieństw i zachęty. Powstało ono pod dwustronnym naciskiem: raz rosnących zastępów, przybywających z Polski, powtóre skutkiem dochodzących wciąż z różnych stron Ameryki próśb bardzo usilnych o przysłanie kapłanów Polaków dla duchownej posługi wśród biedy polskiej, przerzuconej za morza. Ogólna potrzeba misyonarzy dla krajów pogańskich niemało się też przyczyniła do chętnego przyjmowania coraz liczniejszych polskich nowicyuszów. Tym sposobem wyrównany może zostanie pewien historyczny niedostatek, który zaciężył nad naszą przeszłością. Brak *polskich* apostołów już nas obecnie zasmucać nie powinien: pogrobowy to kwiat wiary i miłości, wyrosły na mogile ojczystej, aby zasługą i ofiarą dopraszać się zmartwychwstania. Raz po raz wypływają *polscy* wysłańcy ewangeliczni na obce wybrzeża. Gdy przed laty kilkunastu zabiegli do cieśniny Magelańskiej polscy podróżnicy, zdumieli się, słysząc, iż tam polski Reformat, Ojciec Matulski, pracuje w winnicy Pańskiej. Dziś osada *salezyańska* rozszerza zagony oświaty chrześcijańskiej; w Punta Arenas śliczny buduje się kościół, a dwie stacye misyjne, założone po obu stronach cieśniny Magelańskiej, tak w Patagonii jak w Ziemi Ognistej, obsługiwane są przeważnie przez Polaków ze Śląska czy Królestwa pochodzących. Wszystkie bowiem trzy zabory dostarczają dziś pracowników *salezyańskim* dziełom, choć Śląsk i tu przoduje dziwną obfitością powołań.

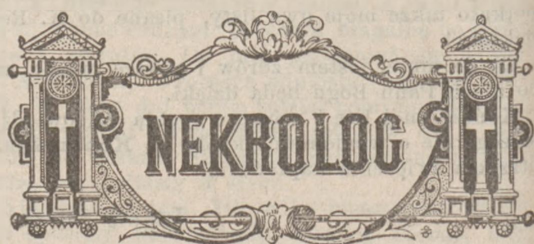
Między artykułami **„Wiadomości“** spotykamy dwie rzeczy znane już skądinąd, tj. referaty z przedostatniego galicyjskiego wiecu katolickiego: X. Bronisława Markiewicza *„o Salezyanach,“* i ks. Marcina Czermińskiego T. J. *„o duchownych potrzebach polskich wychodźców.“* Nie wspominalibyśmy o tem, gdyby nie ciekawy i rzewny przy-

pisek, który maluje nam wielkie wrażenie, jakie ostatni z tych referatów, wspólnie odczytywanych, w jeden z zimowych wieczorów 1894 r. wywarł na grono młodych polskich Salezyanów, liczące wówczas w kolegium Valsalice 150 członków. Zastanawiali się nieraz ci młodzi ludzie, równie jak i ich Przełożeni, skąd i poco w ostatnich czasach do tak niebywałych rozmiarów wzrosła w ich Zgromadzeniu liczba polskich powołań. Otóż po odczytaniu wspomnianego referatu z pamiątkowej księgi wiecowej, pod wpływem jednej myśli, spojrzeli ci młodzi po sobie, a któryś z nich zawołał z uniesieniem: „*P. Bóg powołał nas tu na to, byśmy się zajęli braćmi naszymi na obczyźnie!*“ Słowa te stały się odtąd ich hasłem i gwiazdą przewodnią w ich pracach. Od owego „pamiętnego roku“ kolegium Valsalice wydało już 3 kapłanów, 100 kleryków i 20 *koadjutorów* (czyli braciszków).

Hasło powyższe piękne jest, podniosłe i bardzo aktualne. Mamy jednak nadzieję, że nie jest ono w łonie Zgromadzenia pojmowane zbyt wyłącznie i jednostronnie. Nietylko dla Polaków na obczyźnie potrzebną jest praca Zgromadzenia; doniosłe pożytki może ona przynieść i w kraju. Przewodnią myślą ks. Bosko było przygarnięcie opuszczonych dzieci ludu, ażeby jednych wyuczywszy rzemiosła, drugim udzieliwszy odpowiedniego wykształcenia, wszystkich wychować na prawych chrześcijan i na pożytecznych obywateli kraju. Powstały tedy szkółki, warsztaty, zakłady żeńskie i męskie, nareszcie seminarya, mające na celu dostarczanie apostołów *misyom zagranicznym*, pracowników opuszczonym cząstkom winnicy Pańskiej. Wszystkie te zamiary i dzieła pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem, obecne zaś ich grawitowanie ku Polsce, za pomocą przyrostu polskiego żywiołu, jest niezawodnie opatrznościowem zrządzeniem, sposobiącem tamy ochronne przeciw zalewowi złego, które wiecznie próbuje nasamprzód młode zagarnąć i zatruć pokolenia. **„Wiadomości salezyańskie“** utorują drogę salezyańskiej wśród nas działalności, wskażą nam, iż niedość zakładać *schroniska* dla opuszczonej dziatwy, niedość je oddawać w ręce najzacniejszych i najczynniejszych jednostek, lecz utwierdzać je trzeba na granicie stowarzyszeń i reguły zakonnej, odpowiadającej wszystkim potrzebom chwili doskonałem uharmonizowaniem podwójnego przykazania: modlitwy i pracy, wiary i czynu, dźwigania serc w górę i zaprawiania rąk do szlachetnych znojów.

M*.**





ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Adamiec A., m. rzeźnicki, — *Głogówek*, Górny Śląsk.
X. Babisz Jan, wicedziekan i proboszcz, — *Przyszowa*, Galicya.
Brzeski Jan, — *Stężyca*, Prusy Zachodnie.
Chojnowski Franciszek, — *Stolzenberg*, Warmia.
Ciszek Jan, — Królestwo polskie.
Cugier Maryanna, — *Grembów*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Czekała Józef, — *Chorzów*, Górny Śląsk.
X. Dańkowski Józef, proboszcz, — *Krzyżanowice*, Galicya.
Donnar E., — *Poznań*.
X. Drzewicki Antoni, proboszcz, — *Chodorów*, Galicya.
X. Dyszyński Jan, proboszcz — *Cieklin*, Galicya.
Feliszkowski W., m. bednarski, — *Buk*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Fischbierek Franciszek — *Sławencice*, Górny Śląsk.
Gerszewski F., — *Tuchola*, Prusy Zachodnie.
Gloger Br., rzeźbiarz, — *Poznań*.
Górski Wojciech, — *Krościenko*, Galicya.
X. Guziński Jan, dziekan i proboszcz, — *Lembark*, Prusy Zachodnie.
Haza Radlic Bernard, właściciel dóbr, — *Lewice*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Herman Sylwery, dziekan, — *Grybów*, Galicya.
X. Jagoda Franciszek, proboszcz, — *Stany*, Galicya.
X. Jurkowski Michał, proboszcz, — *Zawoja*, Galicya.
Kalus Antoni, siodłak, — *Kunów*, Górny Śląsk.
X. Kaszowicz Piotr, administrator, — *Bełz*, Galicya.
Kaszubski A., m. rzeźnicki, — *Mysłowice*, Górny Śląsk.
Klosek Szczepan, — *Pyskowice*, Górny Śląsk.
X. Kluczek Bernard, gwardyan OO. Kapucynów, — *Kraków*, Galicya.
Kmiecikowski K., — *Gniezno*, Wielkie Księstwo Poznańskie.



AVE MARIA, REQUIEM

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.